

3975/86

39/R.

r. 180

KWIECIEŃ

NAOKOŁO ŚWIATA



C E N A

ZŁ. 1.50



Sybilla Schmitz w filmie Tobisu p. t. „Taniec na wulkanie”. Fot. Polski Tobis

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Dziwną jest rzeczą, że u wielu Pań, dbających o swą urodę i umiejących ją tak dobrze, ogólnie biorąc, pielegnować — spotyka się często ręce zniszczone, czerwone i t. p. Przecież piękne, delikatne ręce to rzecz dla Pań niemniej ważna, niż np. ładna i świeża cera twarzy. Rzecz naturalna, że ręce będąc często myte, stają się jesienią czerwone i posiekane, skutkiem działania na wilgotną jeszcze skórę zimnego powietrza. To też ręce wymagają większej pielęgnacji niż inne części ciała. Na niebezpieczeństwo zniszczenia rąk są szczególnie narażone Panie, zmuszone do zajmowania się gospodarstwem domowym. Wiele z Pań, w trosce o swe ręce, wciera w nie glicerynę, która nie tylko, że nie nadaje się do tego celu, lecz daje skutek niepożądany, gdyż, choć rzeczywiście chwilowo ręce wygładza, jednak przy używaniu jej przez czas dłuższy, skóra staje się żółta i pomarszczona.

Nie też dziwnego, że tak wielką popularność zyskał sobie KREM PRAŁATÓW — Perfection, gdyż jest to naprawdę jedyny środek, który w bardzo krótkim czasie wybiela sine i czerwone, wygładzając momentalnie szorstkie, spierzchłe, a nawet popękane ręce. KREM PRAŁATÓW nadaje się również najlepiej do pielęgnowania rąk zniszczonych pracą, gdyż usuwa wszelkie odciski i zgrubienia skóry, nadając jej rzadko spotykaną miękkość i elastyczność. KREM PRAŁATÓW posiada też ważną zaletę, że nie działa tylko chwilowo, lecz skutecznie leczy wszelkie defekty skóry, nie dając jak np. gliceryna efektów ujemnych. KREM PRAŁATÓW zapobiega skutecznie odmrożeniom i wszelkim podrażnieniom skóry.

Zupełnie niekłopotliwy i nadzwyczaj miły w użyciu, KREM PRAŁATÓW wciera się od razu do sucha, nie tłuszcząc skóry, lecz czyniąc ją momentalnie białą, gładką i matową. Żadna też z Pań, dbających o swe ręce, nie obejdzie się jesienią i zimą bez kremu PRAŁATÓW — Perfection.

M-me Ercèdes

T R E Ś Ć N U M E R U

<i>Czesław Bączkowski</i> — Obrazki z krainy gdzie ginęła wolność najcenniejszy dar .	4
<i>Jadwiga Kautzka</i> — Sulmi	9
<i>Wacław Knoff</i> — Wieczna wizja	14
<i>Wiesław Pyrek</i> — Gondole i gondolierzy	17
<i>S. Lubieniecka</i> — Fryzjer	22
<i>Maria Leszczyć</i> — Kradzież mimo woli	27
<i>Wojciech Walczak</i> — Statkiem przez fińskie jeziora	33
<i>Ion Bratescu-Voinesti</i> — Mikrob	43
<i>J. T. Dwyer i W. Haynes</i> — Sentymentalne intermezzo	49
<i>Maria F.</i> — Humor sowiecki	62
<i>Maria Zwaryczowska</i> — Światło w otchłani	69
Rozrywki umysłowe	77

Rysunki *M. Cigylńskiej, J. Kautzkiej, J. Młodnickiego i M. Szczęsniewskiej*

Na okładce — *Krzyszyna Madeyska*, młoda, utalentowana śpiewaczka, znana ze swych występów w Operze i Radio

Cennik ogłoszeń: $\frac{1}{1}$ strona zł 800.—, $\frac{1}{2}$ str. zł 450.—, $\frac{1}{4}$ str. zł 250.—,
 $\frac{1}{8}$ str. zł 150.—, $\frac{1}{16}$ str. zł 100.—.
 za wiersz milimetrowy jednoszpaltowy lub jego miejsce zł 2.50.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Zgoda 12, tel. 5-22-14

Administracja czynna codziennie od godz. 13 do 15

Prenumerata kwartalna w kraju, wraz z przesyłką

zł 3.50 — za granicą zł 6.50.

Zeszyt pojedynczy 1.50 zł.

*Rękopisów i fotografii nie zamówionych Redakcja nie przechowuje
 i nie zwraca.*

Redaktor BRONISŁAW BRENERT, T-WO WYD. „DROGA” sp. z o. o.

Druk. Wacław Zajączkowski, Chłodna 37, tel. 669-46.



NAOKOŁO ŚWIATA

Nr 180

KWIECIEŃ

ROK 1939



Gerd Horst gra w filmie Tobisu: „Sierżant Berry”. Fot. Polski Tobis



Widok na zamek królewski w Pradze Hradczany

OBRAZKI Z KRAINY GDZIE GINĘŁA WOLNOŚĆ NAJCENNIEJSZY DAR

Jedziemy. Słońce wisiało nad wycieniowanymi wzgórzami Beskidu, dotykając promieniami dachów i poczerniałych żużlowych bald tu i ówdzie porozrzucanych. Słońce wschodziło. Mijamy Karwinę, skupisko schludnych białych domków górniczych, kościółek najeżony iglicami gotyckich wieżyc.

Zostaje poza nami las dymiących kominów, olbrzymi labirynt budowli fabrycznych. W uszach brzmia jeszcze ostatnie krzyżące tytuły prasy, o skutkach interwencji wojsk niemieckich.

Mijamy brzezinki i zaciszne polany. Przed nami pnącą się wśród chlewnych pól ścieżyną szły ciemne postacie górników, rysując ostro i wyraźnie w płaskiej perspektywie swe sylwetki.

Tatry wspinają się na ozłoczone wzgórza, to schodzą w doliny, to znów wpada do jarów, kotlinek.

Na prawo od szosy pozostaje za nami leśna dróżka tak dobrze znana wszystkim. Cierlisko Dolne z białą kapliczką, strzegącą wzgórz snu dwóch bohaterów. Wartujące ementalne sosny, szepeją niewypo-

1-86/3345
285/5407
(nr 55, 166-168, 173, 173-180)

wiedzialną historie eposu RWD 8.

Z natłoku myśli, obrazów i kontemplacji, poczynam nadsluchiwać i czekać na jakieś mające nastąpić wydarzenia.

Punkt graniczny. Pietwald.

Po półgodzinnej jeździe dotarliśmy do punktu granicznego, przewidywalnie sklecona budka straży granicznej. Celnicy sprawdzają paszporty, przepustki, rewidują kieszenie, zaglądną do samochodu. Wreszcie machają ręką. Jedziemy dalej, szybko i zwinnie, po trudnej miejscami spadzistej i stromej drodze. Pada śnieg. Żołnierz czeskiej straży granicznej zatrzymuje nas ręką. Stop. Wysiadamy, podajemy paszporty; ja zwykłą starościną Czechosłowacko - Polski Pohraniční Prepusky. Mechanicznie przewracają karty paszportów. Robią wrażenie zafasowanych, milezących, z zaciśniętymi ustami i bliskich płaczu. Jeden ze strażników widząc u mnie I.K.C. zwraca się i chce kupić, dając

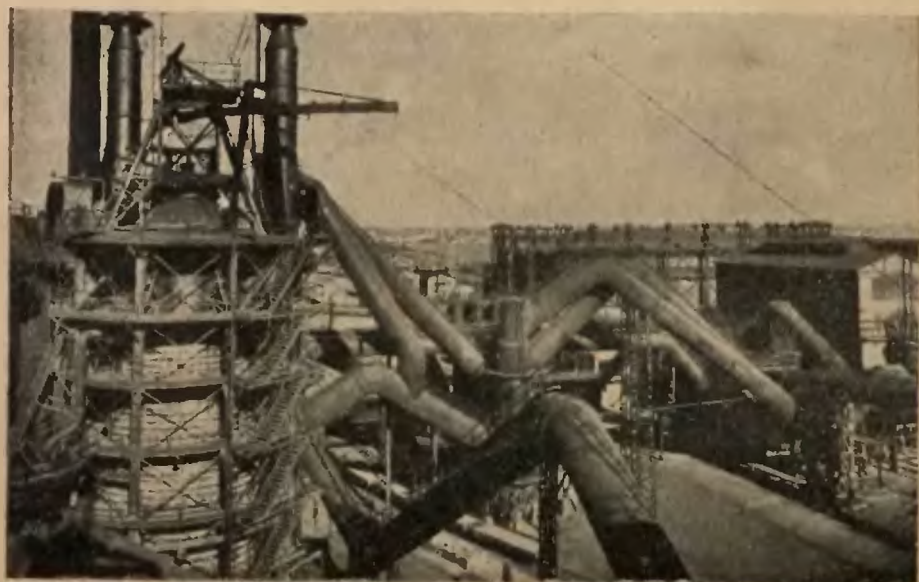
mu go, chce płacić, powiadam że nie, a on wciąż swoje. — Prosi i wsuwa mi w rękę pięciokoronówkę mówię, że nie chcę pieniędzy, wreszcie częstuje mnie papierosem, Československo Tabakovej Rezi.

Mówi o wydarzeniach zaszłych ostatnio.

Dla nawiązania rozmowy i badając tytułem informacji chciał zapłacić za mój I.K.C., rozpowiada nowostki, które później, jak się przekonałem, są własnością ogółu, — że wielki urzędnik policji był na usługach wywiadu niemieckiego i cały szereg innych świadczących o zasięgu, wpływach oraz o jakości sieci informacyjnej Gestapo.

Żegnam swego rozmówcę i pełnym gazem ruszamy na rogatkę morawsko - ostrawską. Rozglądam się... Na szosie bezustanny ruch. Chaotycznie wyładowane ciężarówki Skody pną się po trudnej, spadzistej szosie. Mkną gdzieś wspinałe limuzyny. Raptem, — pierw-

Zakłady wilkowickie





Ratusz w Morawskiej Ostrawie

szy zwiastun: w rowie przydrożnym działko przeciwpancerne czeskiej Skody, obok za zabudowaniami samochody pancerne, wozy amunicyjne, motocykl na gazie.

Za chwilę b. koszary czeskie prawie że puste, wartę pełnią żołnierze niemieccy. Mijają nas co chwila kolumny potężnych samochodów pancernych, małe czołgi, wozy amunicyjne, oddziały przeciwpancerne, zmotoryzowane oddziały piechoty. Żołnierze z dłonią na rękojeści karabinów maszynowych. Zasłonięte twarze głębokim chel-

mem z hackenkreuzem na ramieniu, skłaniały do szukania analogii w odległych dziejach. Bokami drogi wlokły się sznury motocykli. Z utworzonych szpalerów powitalnych wyrwały się długie niemilknące spontaniczne okrzyki — Heil Hitler i wyrastał las wyciągniętych sztywno rąk. Wjeżdżamy do miasta: piękne gmachy o swoistej fizjonomii stylowej przystrojone w barwy narodowe niemieckie ze swastyką.

Okna upstrzone hackenkreuzem. Na ulicach ruch, pośpiech i gwałt, przed sklepami kolejki, ludziska kupują wszystko, od Baty wychodzi czeski kolejarz z wiązanką bułków, to znów biedna kobiecina dźwiga wór kartofli, a tam w pośpiechu znośzą z ręcznego wózka węgiel. Idziemy dalej; hotel Imperial siedziba d-cy. Szpalery małych samochodów, motocykle, co chwila oficerowie łączności przewożą i odwożą meldunki i rozkazy. Na dachu Deutschhausu zainstalo-



wany megafon ryczy wniebogłosy wzywając ludność niemieckiej Ostrawy na mający się odbyć dziś w domu niemieckim wiec.

Miasto jest podminowane niepokojem, zasugerowane błyskawicznością wydarzeń i własną bezsilnością.

Po pewnym czasie zapalają się neony, postacie przechodniów nikną bezszelestnie w uliczkach od ogromnych wymalowanych metroowymi literami napisów: — Heil Hitler, od hackenkreuzu skradzionego z ołtarza Matki Najświętszej padał cień najwymowniejszy, symbol polityki obszaru, zaciętrzewienia Berlina.

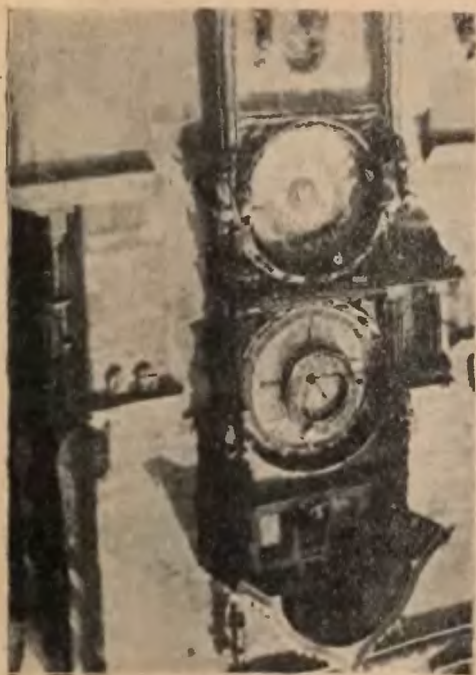
Sprzedawca gazet wieczornych wykrzykiwał tytuły artykułów, co chwila padały słowa; Polsko zesta-wienia! Jakieś pogroźki pod adre-

sem Polski. Gubię wątek myśli rozwijającej się pod wrażeniem hackenkreuzu i mimo woli przypominają mi się słowa wypowiedziane gdzieś przez Sienkiewicza — że gdzie miłość ojczyzny gaśnie, tam przychodzą czasy łotrów i szaleńców.

Wysoko ponad głową stał księżyc. Zegar z wierzy ratuszowej począł wydzwaniać „godzin szereg długi”. Cisza i spokój. Przylotczeni straszliwą tragedią — bez ducha wiary w przyszłe zwycięstwo, ludziska pochowali się. Cisza ementalna zawładnęła tym miastem, tylko z dala słychać było kroki niemieckiego sztyldwach na ratuszu, kroki ciężkie, przejmujące grozą, których echo obijało się o wspaniałe budowle, o kute z różowego marmuru posągi — symbolizujące nie-

Z tragicznych dni Czechosłowacji





Fragment z fary praskiej

gdyś wiarę czech — przemysł, górnictwo, hutnictwo i rolnictwo.

By zorientować się w tym wyjątkowym okresie narastania nowych niewątpliwie konfliktów i do właściwego zrozumienia dążeń niemieckich, uciekamy się do ewangelii hitleryzmu — „Mein Kampf” i nie z mofyką na słońce porwiemy się — stwierdzimy, że się tak wyrażę integralny cel rosenbergowskiej ideologii Drang nach Osten.

„My, socjaliści narodowi — pisze Hitler — przekreślamy z całą świadomością zasady przedwojennej polityki zagranicznej Niemiec. Rozpoczynamy z tego punktu, na którym utknęliśmy przed sześćdziesiąt laty. Zahamujemy odwieczne parcie germańskie na południe i zachód, kończymy z polityką handlową i kolonialną czasów przedwojennych i zwracamy się ku poli-

tyce obszarów, w której widzimy przyszłość. Skoro więc i dziś myślimy o nowych obszarach, w Europie, myśleć w pierwszej mierze musimy o Rosji i otaczających ją państwach. Naszym zadaniem będzie wytrwała praca niemieckiego pług, któremu obszarów dostarczy miecz”.

Bilansując Hitlera zdobycze terytorialno - militarne, musimy otrząsnąć się z wrażeń i spojrzeć prawdzie w oczy — krótkiej, ale głębokiej. „Ostatni szczep Słowian zachodnich, ostatni Słowianie nad Łabą zostają zalani morzem niemieckim”.

Tragedia Czechosłowacji, iakolwiek gwałtowna i przerażająca była tylko zapuszczeniem kurliny, była strasliwym sformulowaniem tego, co już poprzedało się stało.

CZESŁAW BĄCZKOWSKI

Praga most na Wollawie





S U L M I

(OPOWIADANIE Z LAPONII)

Niezbadane, kapryśne losy zagnały mnie w pewien styczniowy dzień nad jezioro Inari w północnej Laponii. Błąkałem się w szarym mroku mroźnej nocy polarnej, nie mogąc wybrnąć z labiryntu zaśnieżonych jezior. W tej płataninie uszedł mojej uwagi coraz intensywniejszy mrok, a gdy wreszcie obejrzałem się za siebie rozciągała się zewsząd bezkresna przestrzeń, od której dął suchy porywisty wiatr.

Zbliżała się śnieżna zadymka...

Już nie było czasu do namysłu. Biegłem długimi ślizgami nart w stronę ciemniejącej ściany lasu, wysuwającej się długim jęczorem w skutą lodem tafłę jeziora. Śnieg z cichym chrzęstem pryskał spod nart, ściana niskich brzoź i karlo-

watych świerków zbliżała się coraz bardziej. W szalonym wyścigu słysząc świst wichru tuż za sobą dopadłem ostatnim tchem pierwszych drzew. Nie patrząc za siebie sunąłem naprzód zagłębiając się w leśne gąszcza. W tym pusikowiu nie spodziewałem się spotkać nikogo, to też zdziwiłem się mocno, spostrzegłszy na przeciwległym krańcu małej polanki małą, podobną do ziemnego kopca torfową chatkę i targaną wichrem nikłą smużkę dymu snującą się z komina.

Przemknąłem przez polankę i za chwilę mrużyłem oczy nieoswojone z mrokiem panującym w niziutkim wnętrzu i jaskrawym blaskiem ognia.

Otoczyły mnie brodate, poorane

twarze drwali lapońskich, a w nozdrza wżarł się zapach pieczonego nad ogniskiem mięsa i smród bijący z przepoconych skór, którymi byli otuleni.

Widocznie i oni w ostatniej chwili zdążyli umknąć przed zadymką, gdyż wilgoć parująca z przemoczonych ubrań napelniała chatę.

Rzuciłem narty w ką i usiadłem z westchnieniem ulgi przy ogniu. Poczełwi drwale ciekawie zapytywali mnie skąd przybywam, przygotowując tymczasem pożywienie. Nigdy jeszcze nie smakowała mi tak łykowata pieczeń i herbata, jak teraz, podane przez gościnnych drwali w zacisznej chacie, po wyczerpującej wędrówce. Ludzie ci okazali się bardzo sympatycznymi towarzyszami.

Chwile, któreby mogły się stać dla mnie wiekuiście długimi, gdybym był sam, mijały mi szybko w trakcie zajmujących ich opowiadań. Specjalnie utkwiła mi w pamięci historia właśnie z tej okolicy, z nad jeziora Inari o małej dziewczynce lapońskiej Sulmi.

Postaram się ją jak najdokładniej przytoczyć.

„Zima owego roku była jedną z owych strasznych, srogich zim nawiedzających od czasu do czasu fińską Laponię. Niebo opętane szaleem zasypywało bezustannie białymi masami śniegu cały kraj, odcinając ludzi od światła i czyniąc nieprzebytymi rozległe przestrzenie tundry lapońskiej.

Ustala wszelka komunikacja, tużemcy zaszły się w swe chaty, zaprzestając polowań, aż do zmiany pogody. I wokół chatki rodziny lapońskiej mieszkającej nad jeziorem Inari zamarło życie. Stary Tirro, ojciec małej ośmioletniej Sulmi, słuchając wycia wichru i szalejącej śnieżycy z niepokojem wstrząsał głową i czas nieświadomie się wlokący skracał, naprawiając paści i sprzęt myśliwski. Sulutalai schyło-

na starością i troskami podzielała wraz z mężem niepokój, jedynie mała i żywa jak iskra Sulmi, nie zdawała sobie sprawy z grożącego niebezpieczeństwa. Dla niej świst śnieżycy był najmiłszą na świecie muzyką, tym bardziej, że tym światem było dla niej bezkresne jezioro wraz z lasem świerków i brzoź rosnących nad jego brzegami. Wystarczała sama sobie, będąc jedyną córką rodziny. Wprawdzie słyszała, że dawno, gdy była jeszcze małą, dwaj jej bracia podczas takiej właśnie śnieżycy zostali rozszarpani przez zgłodniałe wilki. Ale wspomnienia te były zbyt odległymi, aby mogły wywierać wpływ na Sulmi. Jedynie matka wypatrywała ukochanych wizji w skręcających się ognistych językach.

Sulmi żyła dniem dzisiejszym, tanto co mnięło, bladło i nikło wraz z upływającym czasem w ogromie przybywających coraz to nowych wrażeń.

Sulmi teraz w czasie śnieżycy poświęcała długie chwile swemu kosmatemu przyjacielowi renowi Pultjo, którego podarował jej ojciec. Widziała go codzień przez wirujące w powietrzu płatki śniegu, jak odchodził w las w poszukiwaniu pożywienia.

Po czwartym, długim dniu śnieżycy, na świecie zrobiło się jaśniej, można było już nawet dojrzeć smugę drzew szarzącą na przeciwnym krańcu polany. O świecie zapadła decyzja i Tirro posiliwszy się zupą rybą z kawałkami tłuszczu, pływającymi po niej, otulił się futrzanym kaftanem, starannie oglądając swą broń i wyszedł z chatki.

Przez chwilę jeszcze mocował się z wiehrem, który targnął wściekle drzwiami i rzucił wgląd kłęby pyłu śnieżnego, potem ruszył wskroś białych przestrzeni, aby przejrzeć zastawione kilka dni temu paści. Intensywność zadymki coraz bardziej malała, a niebo przybierało swój



szarawy kolor. Tirro długo się błakał wśród niskich karłowatych krzewów, zbalamucony olbrzymiemi zwalami śniegu, które pokryły pozastawiane żelaza. Pierwszą zdobyczą, do której się dokopał był puszysty biały lis skostniały zupełnie. Widocznie długo walczył o wolność, bo tkwiąca w żelazach łapa była poszarpana na strzępy. Tirro umocował zdobycz na plecach i założył nową przynętę, poczym ruszył, brnąc w śnieżnym puchu ku widniejącej w mroku kępie drzew. Wiehru już nie było, jedynie chrząst kroków przerywał ciszę.

Wreszcie stanął pod nimi i rozglądał się wokół w poszukiwaniu zastawionej tu pułapki, ukrytej teraz gdzieś w zwalach świeżo spadłego śniegu. Nagle straszny ból targnął całym jego ciałem, powalając go na ziemię. Krew zabarwiła na różowo śnieg wokół nóg zemdlonego. Po chwili zimny śnieg przywrócił mu przytomność. Z przerażeniem spostrzegł swą prawą nogę

tkwiącą w szczękach paści, na której niebacznie nadepnął. Jęcząc, szarpany strasznym bólem, długo mocował się ze sprężyną, wreszcie rozwarł ją, uwalniając okaleczoną nogę, poczym padł nieprzytomny z bólu i wyczerpania.

— — — — —
Sulutalai i Sulni napróżno oczekiwały powrotu ojca, nad słuchując czy nie zaskrzypią kroki na śniegu. Sulni jak zwykle siedziała w swoim kąci, myśląc intensywnie, aż małe jej czoło sfaldowało się zmarszczkami. Wreszcie wstała, otuliła się swoim kaftanem i rzuciwszy wykrętnie wytłumaczenie matce, wyszła przed chatkę i rozejrzała się bacznie w ciemnej przestrzeni. Za chwilę zachrząścił śnieg i zza chaty wynurzył się szary kosmaty ren.

Dziewczynka przez chwilę tuliła jego duży ciepły łeb do siebie, poczym ruszyli oboje do małej szopy, z której Sulmi z trudem wyciągnęła małe saneczki i zaprzęгла do

nich rena. Ślady lekko zasypane widniały długim sznurem, ginąc w dali. Dziewczynka ruszyła za nimi, wlokąc z trudem swe małe nóżki w miękkim puchu. Za sobą czuła ciepły oddech rena i szelest sunących płóz sanek. Doszła wreszcie do pierwszej paści, z której Tirro wyjął lisa. Teraz ślady już wyraźnie prowadziły ku kępie drzew czerniejącej w dali. Ruszyli: zwawiej. Za chwilę ren zatrzymał się chrapiąc, a dziewczynka dojrzała ciemny kształt ludzki na śniegu. Sulmi podbiegła i drżącymi rękami zaczęła obmacywać ciało ojca. Żył jeszcze, bo dłoń jej wyczuła pod grubymi zwojami futra, słabe bicie serca. Małymi swymi rączkami przesunęła bezwładne ciało do sanek. Zmęczona odpoczywała, łapiąc ustami powietrze, wreszcie ostatnim wysiłkiem wciągnęła ciało ojca na sanki i przymocowała rzemiennymi pasami. Ren jakby rozumiejąc o co chodzi ruszył szybko z powrotem. Dziewczynka powlokła się za nim i wreszcie znalazła się na skraju polany.

Ren stał przed domem z pustymi saniami, a drzwi od chatki były uchylone. Jaskrawy refleks od ognia kładł się na śniegu i widać było jak przez izbę raz w raz przemykał się ruchliwy cień Sulutalai. Sulmi odetchnęła głęboko. Ucałowała rena w mokre chrapy i weszła do izby. Matka krzątała się koło rannego, który powoli wracał do przytomności.

Dziewczynka czuła się teraz zupełnie szczęśliwą, mając przy sobie ojca, matkę i chyba nikt w całej Laponii nie był bardziej szczęśliwy od tych trojga w małej chatce nad jeziorem Inari...

Mijały dni. Rana na nodze puchła i ropiała. Tirro leżał na posłaniu ze skór i coraz posępniej spoglądał na żonę i córkę. Zaczęło na dobre brakować żywności. Wprowadzić w kacie leżały skórki czekające na

wymianę w odległej o kilkadziesiąt kilometrów od tego pustkowia faktorii. Lecz wykluczonym było by on sam mógł pomyśleć o wyruszeniu w drogę. I Sulmi choś nikt jej o tym nie mówił wiedziała dlaczego rodzice mają twarze ponure i smutne. Wiedziała i myślała w jaki sposób zapobiedz złu.

Czas płynął i w końcu Sulutalai stanęła przed groźnym problemem skąd wziąć pożywienia dla trojga osób.

Wówczas Sulmi poczęła działać. Głosem rwącym się ze wzruszenia poczęła przekonywać ojca, że może zupełnie śmiało powierzyć jej los kilkadziesiątu futerek, które ona zamieni na pożywienie aby uchronić rodziców od głodu. Tirro kiwał przecząco głową, ale ostatecznie nie było innej rady. Nie było też czasu do stracenia to też chociaż Laponczykowi wydawało się szaleństwem puszczać małą Sulmi samą dla zamiany futer, uczył dziewczynkę wszystkiego co mogłoby się jej przydać w tej podróży. Sulmi z całą powagą przygotowywała się do jazdy i na drugi dzień sankami zaprzężonymi w rena, ruszyła zegnaua przez zatroskane twarze starszków.

Szczęściem wiatr ucichł a drogę rozświetlała polarna zorza. Ren sam wiedziony instynktem znajdował drogę często przebywaną wraz z Tirrem. Nigdy jeszcze Sulmi las nie wydawał się tak mrocznym i tajemniczym. Pnie drzew migwały w pędzie oświetlane różowawym światłem, sanie cicho szeleściły po śniegu.

Sulmi trzymała lekko lejce i strach ją ogarniał przed ogromem obowiązków, które na nią tak niespodzianie spadły. Droga była bardzo długa. Zdała dolatywało czasami stłumione odległością wycie zgłodniałych wilków, wywołując nerwowe chrapanie rena i dreszcz przerażenia u dziewczynki.

Sulmi zmrużyła oczy i zdała się na łaskę i instynkt zwierzęcia. Wreszcie zmęczona zasnęła ukolysana monotonnym szmerem płóz i ciepłem otulających ją futer.

Silny wstrząs wyrwał Sulmi ze snu i dziewczynka obejrzawszy się szybko zeskoczyła z sanek. Ren zatrzymał się przed domem faktorii i teraz patrzył na nią swymi dużymi mądrymi oczami. Wejście Sulmi wywołało wśród urzędników niemalą sensację. Nigdy jeszcze nie załatwiał spraw tak młody klient a tymbardziej dziewczynka. Sulmi nie zważała na zaciekawienie obecnych i pełnym powagi głosem załatwiała swą sprawę. Tirro napewno byłby z niej zadowolony. Pomysłne załatwienie sprawy zawdzięczała swej odwadze która zjednała jej sympatię wśród tych synów północy umiających ocenić czyn szlachetny i odważny.

Wracała pełna radości i dumy żegnana serdecznie przez miesz-

kańców osady. Droga minęła szybko i niepostrzeżenie bez niebezpieczeństw. Ren czując bliskość domu rwał jeszcze szybciej niż przedtem. Późnym wieczorem stanęli u drzwi chaty. Gdy Sulutalai wyprzegła rena i przenosiła worki z żywnością do izby, Sulmi z radością i wzruszeniem opowiadała ojcu o swych przygodach. Jasno było teraz w chacie Tirra.

Na zewnątrz mrok polarnej nocy rozścielał się szarym całunem, otulając chatę, drzewa i śnieżną przestrzeń. W tym czasie Sulmi kładła zmęczoną swą główkę na posłanie ze skór i z wolna zapadała w sen.

Stary drwal skończył swą opowieść i zapatrzył się w żar ogniska na którym dopalały się ostatnie szczapy drzewa. Na dworze wichura wciąż szalała z niesłabnącą siłą. Otuleni w skóry zapadaliśmy w sen jeden po drugim.

JADWIGA KAUTZKA

Ilustracje autorki





WIECZNA WIZJA

Siedzieliśmy w portowej tawernie i właśnie szyper Tymoszuk nalewał nam chyba już po raz setny przedostatnią kolejkę, gdy z trzaskiem otworzyły się drzwi i wtoczył się przez nie olbrzymi marynarz o jednym oku.

W pierwszej chwili zrobił się rumor, wszyscy spojrzeli na wchodzącego, a potem zaległa martwa cisza. Tylko na dworze wył wicher, masy wody waliły z rozdzieranych piorunami niebios. Pogoda, że psa by nie wyrzucił. A do tego zimnica.

Przybysz chwiejnym krokiem podszedł do bufetu i zażądał schrypniętym głosem pół litra wódki. Otrzymaawszy ją, zręcznym ruchem, zdradzającym nie byle jaką wprawę wybił dłonią korek z butelki i całą zawartość przelał do podsta-

wionego przez pobladłego kelnera kufla. W chwilę potem przechylił go wlewając wodę ognistą do przepaścistego gardła.

No, no — pomyślałem sobie — i zrobiłem oko do Tymoszuka. Szyper spojrzał z niepokojem w stronę bufetu, położył palec na ustach, następnie wolniutko przesunął go na czoło, zataczając kółeczko. Równie powolnym ruchem skinąłem głową, że zrozumiałem ten międzynarodowy znak, stosowany przy określaniu ludzi, którym się jakaś kleпка oblużowała, czy wypadła.

Zaciekawiony do najwyższego stopnia czekałem, co dalej będzie.

Tymczasem przybysz otarł wierzchem dłoni wąsy, rozejrzał się bacznie po milczącej gromadzie, poślinił ustnik papierosa i machnął go

do góry. Szybko spojrzałem w kierunku lotu tego zaimprowizowanego pocisku. Tkwił wysoko pod sufitem, w samym centrum lampy.

Jednooki chwilę nasłuchiwał, jakby w ogóle można było coś usłyszeć po przez wściekle ryki nawałnicy i nagle zawołałszy:

— O mój statek trąbi, wzywam, wychodzimy w morze! — wybiegł trzasnąwszy drzwiami, że o mało szyby nie powylały z okien, a myśmy nie pospadali z krzesł.

Po wyjściu jednookiego, podniósł się gwar głosów. Ja też już dłużej nie mogłem milczeć i zarzuciłem szyprą pytaniami:

— Słuchajcie szyper, ja przecież ciągle przyjeżdżam do Gdyni, znam wszystkie maski, a tej jeszcze nie widziałem. Co to jest za meduza. Tutejsza?

Szyper wolnym ruchem nabił sobie fajkę, zapalił ją, następnie podniósłszy kieliszek do góry, chwilę z namaszczeniem oglądał go pod światło, jakby badając, czy mu tymczasem gin nie wyparował, wreszcie wypiwszy go, w czym mu naturalnie sekundowałem, zaczął opowiadać.

— Wiedziecie przede wszystkim, że to jest stary seeman, który kawał świata opłynął, nie jedną awarię przeszedł, ale ostatnia z nich wykończyła go kompletnie. Nic dziwnego, żeście go nie znali, bo wrócił zaledwie dwa miesiące temu ze szpitala dla wariatów w Choroszczy. Niby go wyleczyli te znachory. Pewnie, że nie jest takim, jakim był, ale to już lepsze. Nie trzeba go

trzymać w kaftanie. Od czasu do czasu tylko, jak go ktoś zdenerwuje, pokaże co umie. Nie dziwcie się więc, że wszyscy go tu znamy i wolimy siedzieć jak myszy pod miotłą, niż poczuć na swojej szyi jego ciężką łapę. Ale zacznę od początku. Tylko jeszcze napijmy się, bo mi w gardle zaschło.

Stuknęliśmy się.

— Był, uważacie, — ciągnął dalej swoje smutne opowiadanie szyper — starszym oficerem na lajbie. Szli przez Biskaje. Jak tam diabły tańczą, nie potrzebuję mówić — sami wiecie najlepiej. A jak nie wiecie, to sobie przypomnijcie waszą miesięczną kurację w szpitalu. Jeszcze jak zauważyłem, utykacie nienajgorzej. Otóż właśnie ten jednooki, jak wam mówiłem, pływał wtedy na pasażerskim. Szłorm trzymał ich dwa dni. Potem wybuchł pożar w kabinie radiotelegrafisty. Nadawaj tu S. O. S. Chyba marszpiłem! Mieli jednak szczęście, bo akurat przechodził obok ten latający Holender „Dar Pomorza“ i zobaczył łunę.

Kot Kowalszczak stary cwaniak, kuty na cztery nogi, wiedział, że od podwietrznej nie dojdzie, bo się sam zapali. Zaczął podchodzić z nawietrznej. Fala, jak Himalaje. Na statku baby. Wiadomo, panika. Przykleiły się do fałszyburty jak kłajstrem, pod pokładem już ogień. Istny sądny dzień. Nagle jedna z nich zaczęła wyć nieludzkim głosem: moje dziecko, moje dziecko! O Jezu, pod pokładem w kajucie zamknięte! Ratuuuuuujcie!!!

No i uważajcie, jednooki skoczył w ten piekielny krater. Miał wtedy

jeszcze dwoje oczu. A kiedy wrócił. miał tylko jedno, ale rozwrzeszczanego bachora na ręku. Widocznie ból, żar, wszystko mu rozum pomieszało. Zaczął z nadludzką siłą jak piórka odrywać pasażerów i machać ich do szalup. Bóg raczy wiedzieć ile wtedy żyć ludzkich uratował. Zeszedł ze statku ostatni. Nie, źle mówię. Zleciał zemdlony do morza. Prostu cudem go uratowali.

I teraz — kończył szyper — gdy przyjdzie do knajpy i coś go zde-

nerwuje, zaraz wszystkich nie podchodząc do drzwi nawet, wyrzuca za nie. Najgorzej jest temu pierwszemu, bo sobą drzwi otwiera... Dlatego go się tak wszyscy boją, a za złe nie mają i nieodgrywają się na nim, co by nie jednemu z za winkla zrobili, bo wiedzą, że on nie ich wyrzuca, lecz pasażerów wśród szalejącego ognia z tonącego statku.

Unikł Tymoszuk i nalał nam znowu ginu.

WACŁAW KNOFF
Rys. M. Ciąglińskiej





Gondola J. E. Ambasadora Amelota z r. 1682

Gondole i gondolierzy

Być w Wenecji i nie przejechać się gondolą, to nietakt równy pobytowi w Rzymie bez zobaczenia papieża. To to samo, co ujrzeć Neapol i nie umrzeć...

Więc pewnego, pięknego oczywiście, wieczoru zapada decyzja: jedziemy.

O troskliwości gondolierów w stosunku do włoskiej monety, na nieporadność cudzoziemców wystawionej, opowiadają cuda. Wydelegowany przez amatorów wspólnej przejażdżki, przybieram na oblicze najgroźniejszego, jakim rozporządzam, marsa. To jest dopiero mizernym zadatkim tego, co ma się stać. Muszę się przecież u licha z signorami gondolierami jakoś do-

gadać. Znam wprawdzie w tym pięknym języku artystów, śpiewaków i... gondolierów nie wiele więcej (ze wstydem to wyznaję) nad dwa, ale za to bardzo potrzebne zwroty: „quanto costa?” (ile kosztuje?) i „troppo caro” (za drogo). Z obu, a szczególnie z tym drugim, można całe Włochy objechać i wszędzie być zrozumianym; zaręczam własną, bolesną praktyką.

Do gondoliera już na powitanie nie zawadzi powiedzieć:

— Za drogo.

Chociaż wtedy nas zakrzyczy potokiem swojej wymowy, tak że nawet to „troppo caro” będzie wyglądało jak kwiatek przy kożuchiu. Co do mnie, to naogół wolę być wymo-



Przejażdżka gondolą

wniejszy od swego rozmówcy, szczególnie, kiedy przychodzi mi się targować. Więc przezornie zapytałem?

— Wer spricht deutsch?

Z gromady, która mnie w okamgnieniu obkoczyła, wypycha się łokciami jakiś młodzik. On niby mówi. To znaczy, że zrozumie, o co się

go spytam i odpowie po włosku. Ja mogę nie rozumieć, abym tylko zapłacił.

Powiadam: trzy osoby, spacer godzinny. Ile chce za to? Słyszę w odpowiedzi dwadzieścia pięć lirów. Powtarzam jeszcze raz: trzy osoby, godzina. Ile? Znow: 25. Odkrzykuje w odpowiedzi, że nie słyszę. Składa ręce w trąbkę i huczy mi w samo ucho: 25!!

Zamiast odpowiedzi pokładam się ze śmiechu. Zupełnie, jak ów murzyn, który za kółko w nosie chciał wyhandlować pudełko po sardynkach i wyśmiewał się, że pudełko nieładne, choć mu się podobało.

Pokładając się w dalszym ciągu, dla lepszego wrażenia, ze śmiechu, odchodzę z towarzystwem na bok. Spotykają mnie już wymówki:

— Ech, ty to tak zawsze. Obraża się teraz i żaden z nich nie zgodzi się pojechać. To nie tak, jak z żydami.

Robi mi się wstyd.

Ale w tej chwili łapie mnie za rękę jakiś brzuchacz, którego „znakiem szczególnym” jest z pewnością nos, świadczący pochlebnie o jego stosunkach ze słońcem i alkoholem.

— Pojadę za piętnaście — belkocze łamaną niemczyzną.

Tryumfuję.

Byli tacy, którzy jeździli za dwanaście. Ale niech tam. Znaj pana!

Schodzimy do łódki, podczas gdy towarzysz naszego gondoliera podaje nam rękę by ją po chwili wyciągając z natrętną prośbą o datek:

— Piccolomonnaie!

Rozsiadamy się na pluszowej kanapie. Gondola wypływa na główny kanał Wenecji: canal grande.

Na pomarszczonej powierzchni wody układają się blaski od kolorowych świateł. Pośrodku kanału zatrzymała się gondola, dużo większa od tych zwykłych, spacerowych, cała przybrana lampionami. Przy-



Na ulicach Wenecji

bliżamy się coraz bardziej. Słychać już dźwięki serenady, śpiewanej przez muzykantów. Nasz gondolier oczywiście przybija do ich łodzi. Po chwili gromadzą się przy nas nowe gondole. Jest ich już kilkanaście. Gondolierzy pousiadali na rufie i drzemią sobie. A tamci śpiewają serenadę. I tak dwadzieścia minut. To się nazywa „spacer godzinny”. Ha, trudno. Jesteśmy przecież w Wenecji.

Jeden z muzykantów obchodzi gondole, zbierając w czapkę pieniądze. Ktoś z sąsiedniej gondoli rzuca mu parę miedziaków do czapki. Muzykant wkłada rękę z pełnym oburzenia gestem zwraca pieniądze ofiarodawcy. Takich groszaków on nie przyjmuje.

Odplywamy wreszcie. Lekko kołysze się na falach kanału nasza gondola. Cichnie serenada, gasną w oddali światła lampionów. Płyniemy teraz bocznym kanałem do słynnego ponte di Rialto. Gestem dumy z piękna rodzinnego miasta ukazuje go nam przewoźnik. Jest to najstarszy most, przerzucony

nad wielkim kanałem. Mijamy smukłe, ciemne sylwety gondoli, których obecne zwrotne kształty datują się dopiero z końca XVIII w. Gondolierzy przy wymijaniu wykrzykują długo i przeciągle. Odplywamy znów z głównego kanału, węzowatym spletem obejmują całą niemal Wenecję. Ciemnieje w górze sylweta mostu. To najsmutniejszy zakątek Wenecji; ponte dei Sospiri — most westchnień. Mały, zakratowany, czarny. Tędy prowadzono skazańców z pałacu dożów do więzienia. Stąd, przez zakratowane okienko spoglądali po raz ostatni na szmaragdową zieleń wody. Tam najtwardsze serca stawały się jak wosk miękkie. Tam odbywało się pożegnanie ze światem.

Czy od tyłu westchnień stało się tutaj tak smutno?

Płyniemy w milczeniu.

Oto znów wielki kanał, i plac św. Marka, i światła lampionów na wodzie, i daleka melodia śpiewanej serenady...

WIESŁAW PYREK

Przystajń gondoli na pl. św. Marka







FRYZJER

„Panie Andrzeju, proszę poprawić ten loczek. Ależ nie ten, o, tu na skroni“.

Kapryśny głos baronowej Księżopolskiej wyrażał prawdziwe niezadowolenie, choć, ubrany w białą, nieskalanej czystości marynarkę, fryzjer z niezmaconą nieczym cierpliwością starał się zadośćuczynić jej wymaganiom.

Ujęła w dłoń lusterko, przybliżyła je i oddalała od twarzy, krzywiąc niechętnie kaminowe usta.

„Jeszcze niedobrze, niechże pan poprawi“.

„Robię co mogę, pani baronowo, chciałbym przecież dogodzić, lecz doprawdy uczesanie jest niezwykle twarzowe...“

Szczesane w górę i ułożone w misterne loczki platynowe włosy baronowej odsłaniały skronie, pokryte drobną siecią zmarszczek, zbyt duże uszy i tłusty, krótki kark.

W najmodniejszym uczesaniu wyglądała co najmniej groteskowo. Chciała być młodą za wszelką cenę, nie chcąc pogodzić się z uciekającym z zawrotną szybkością czasem. Długie posiedzenia w salonie kosmetycznym, masaże, parówki, nakładanie na zniszczone policzki wypróbowanych maszczek, galaretek i kremów upiększających nie dawały pożądanego rezultatu.

Co kilka dni baronowa zjawiała się w pierwszorzędnym zakładzie fryzjerskim „Beauté“, którego wła-

ściel, osławiony laureat konkursów zagarnięczych na najpiękniejszą fryzurę kobiecą, polecał ją specjalnym względem swego współpracownika, ulubieńca klientek, przystojnego p. Andrzeja.

Pan Andrzej nie znosił baronowej. Denerwowała go brakiem uprzejmości, nie dającymi się zaspokoić wymaganiami i prowokującą kokieterią. Z niemniejszą niechęcią odnosiła się do p. Księżopolskiej manicurzystki, złotowłosa p. Mela, zakochana bez wzajemności w p. Andrzeju. Każdą jego przykrość odczuwała głęboko i starała — często bez rezultatu — odsuwać od niego wszelkie chmurki na horyzoncie życia zakładowego.

Tego wieczoru p. Mela niecierpliwiła się ogromnie. Przed siódmą bowiem mieli oboje z p. Andrzejem udać się po odbiór sukni obstalowanej dla córki jego piętnastoletniej, ciężko chorej na płuca, Krysi.

Sama sprawa obstalunku przedstawiała się nad wyraz tragicznie.

Krysią straciła matkę we wczesnym dzieciństwie i ojciec starał się wszelkimi siłami zastąpić zmarłą. Kochał dziewczynkę szalenie, żył wyłącznie dla niej. Myśl o możliwości powtórnego małżeństwa odsuwał od siebie starając się nie widzieć zapatrzonych w niego rozkochanych oczu młodej manicurzystki. Krysią była treścią jego życia, jedynym celem i jedyną miłością. Poza nią była praca dla niej, z myślą o niej. Tylko niedziele spędzali razem i p. Andrzej przez cały tydzień snił o upragnionej niedzieli. W salonie fryzjerskim, wśród zapachów roślin, przypalonych włosów, perfum kobiecych i lakieru do paznokci, słuchając bezmyślnych zwierzeń rozflirtowanych klientek, miał przed oczyma bladą twarzyczkę córki, jej daleki, pełen wdzięku uśmiech.





Zdarzało się czasem p. Andrzejowi złapać w locie prowokujące spojrzenie którejś z klientek, czasem rzucone ot tak od niechcecia słówko budziło w nim świadomość, że jest młody, przystojny, że mógłby się podobać, zaryzykować śmielsze powiedzenie, dwuznaczny żarcik... Kobiety go jednak nie interesowały, — traktował je jak sprzęty, akcesoria do umeblowania salonu.

Ubiegłej niedzieli Mela przyszła — niby w odwiedziny — do chorej. Przyniosła kilka kwiatów. Patrzyła z przerażeniem na leżącą dziewczynkę i spytała, co mówił lekarz. Lekarz? No cóż.... Był przecież tylko lekarzem... On ojciec sam zdawał sobie sprawę, że Krysia jest chora, ciężko chora, że należało wszelkimi siłami starać się ją ratować. Zapożyczył się na duży procent, coś nie coś zaniósł nawet do lombardu, lecz to wszystko okazało

się niewystarczające, leczenie wymagało dużych środków finansowych, a pieniądze zdawały się topnieć w rękę.

Może jeszcze wyjazd do Rudki....

Czesząc ostatnią klientkę, drobnutką studentkę z pierwszego roku uniwersytetu, przypomniawszy sobie p. Andrzej, że tego ranka Krysia pożegnała go uśmiechem. Spytała, czy na prawdę dostanie sukienkę. Bowiem marzeniem Krysi była sukienka seledynowa, z tafty, z długą szarfą... W tej sukience wybierała się na wieczorek do Naci z pierwszej licealnej. Wieczorek miał się odbyć za dwa tygodnie, do tego czasu właśnie dziewczynka pragnęła wyzdrowieć.

Pan Andrzej w zamysleniu spojrzał na klientkę, poprawił talę słabiej zaondulowaną. Takie same jedwabiste włoski, jak ta studentka miała Krysia, taką samą bladą cerę i nerwowe paluszki. Tylko inny

uśmiech. Tamten uśmiech był smutny, miał w sobie już coś z zaświatów.

Mimo woli przypomnial sobie słowa matki, starej, poczeiwej kobieciny:

„Słuchaj Jędrku, to przecież szaleństwo, ona tej sukienki nigdy nie włoży... Sam wiesz chyba...”

Nie dokończyła, bo wyraz umęczonych oczu syna wtłoczył jej w usta na powrót okrutne słowa.

„Pamiętaj, ile cię kosztowali lekarze, ile zjadła apteka...”

Pochylił wtedy głowę, jakby ciężar niecznośny, za wielki na jego siły, przywalił mu ramionem i powziął mocne postanowienie: będzie ratować do ostatka, póki sił starczy, a później — niechby i kij zbieraczy na stare lata i śmierć, gdzieś w przytulku — to wszystko jedno... Przyszłość bez Krysi przedstawiała być przyszłością — sama przez się stawała się grobem, martwołą, pustką...

Studentka coś szczebiotała o balu wychowanek *Sacré Coeur*, na który właśnie wybierała się wraz z matką, ale pan Andrzej milczał uparcie. Myśl jego jak ptak krążyła nad łóżkiem dziecka.

Nareszcie: ostatnia klientka opuszcza zakład. Panna Mela skończyła manicure. Mogli wyjść.

Biegli do magazynu po tę wymarzoną sukienkę. Sukienka była już gotowa, uszyta na miarę Meli, posiadającej identyczną z Krysią figurkę.

P. Andrzej nie zauważył nawet, jak ślicznie przy delikatnej barwie seledynu odbijała cera manicurzystki, nie zwrócił zupełnie uwagi na pełną wdzięku linię jej szyi i ramion, szczupłych, dziecińczych niemal w zarysie.

Właścicielka magazynu uśmiechała się pobłażliwie: jak ten przystojny, wysoki mężczyzna musiał kochać tę dziewczynę, skoro inte-

resował się tak bardzo sukienką, dotykał materiału, zbliżał i oddalał, by lepiej zobaczyć efekt tualety.

Tymczasem mała manicurzystka czuła bolesny skurecz w sercu. Żeby to ona... żeby to dla niej... Dla panny Andrzeja nie była żywą kobietą, służyła tylko za manekin. Dałaby życie za to, by choć na jedną, króciutką chwilę zabłysły ciepłym blaskiem smutne oczy ojca Krysi. A jednak przeżywała najcudowniejszą bajkę, była z nim razem, przyglądał się z roztkliwieniem, uśmiechał tak jak dotąd nigdy, tyłko nie dla niej, nie dla niej.

Gdy znaleźli się przed bramą na gwarnej ulicy, p. Mela pomyślała, że bajka skończyła się bezpowrotnie, bo bajki w życiu ludzkim istnieją jedynie w książkach dla



dzieci, szara codzienność hynajmniej nimi człowieka nie darzy... Bezradnie zadrżały małe usta, za-trzepotały rzęsy. Wówczas p. An-drzej bez słowa wziął w swe dłonie rękę małej manicurzystki, pod-niósł ją do ust i oddalił się szybko, bez słowa pożegnania.

Biegł do domu z paczką w ręku.

Tchu mu brakło, gdy wchodził na schody. Zastukał. Otworzyła matka. Z progu uderzył zapach je-dzenia, zmieszany z wonią lekarstw, słodka woń eteru wżarła się w gardło.

„Już po zastrzyku, teraz usnęła“, powiedziała staruszka.

Pan Andrzej ostrożnie rozwijał sukienkę, rozkładał szarfę...

Dziewczynka poruszyła się na łóżku. Podniosła powieki.

Wówczas ojciec położył jej na kołdrze wymarzoną, seledynową suknię.

„Tatusiu...“

W głosie Krysi brzmiała radość, bezmierne szczęście, dźwięczała nadzieja życia... Wice śmierć była tylko straszliwą zmorą... Wice kłamstwem były brutalne słowa le-karza, wypowiedziane kiedyś pół-głosem do babki. Będzie żyła... Oj-ciec sam w to uwierzył skoro przy-niósł ten wyśniony podarunek.

Wieczorek, dużo, dużo gości i o-na, Krysia w długiej, cudnej tua-letcie, zdrowa, radosna...

Wyciągnęła ręce do ojca. Przy-warł twarzą do najdroższych, wy-chudłych, rozpalonych rączyn...

Błądząc palcami po jego twarzy, Krysia wyczuła jakąś wilgotność. Serce w niej zadrżało niepokojem.

„Płaczesz? spytała wzrokiem, dla-czego?“

„Z radości — odpowiedział ochry-płym głosem. Będiesz zdrowa, có-reczko, moja najdroższa, jedyna... Nie rozstaniemy się, pozostaniesz ze mną...“

Czuł w duszy dziwny spokój. Zrozumiał, że może w życiu ludz-kim największą treść i sens posia-dają właśnie te spośród naszych postępków, które, na pozór przy-najmniej, są najbardziej nielogicz-ne, najbardziej pozbawione roz-sądku.

Gdy po tygodniu białą trumienkę Krysi wyniesiono na Brudno, i pan Andrzej powrócił do osamo-tnionych ścian własnego domu, pier-wszą rzeczą, która rzuciła mu się w oczy była taftowa sukienka, rzu-cena na krzesło przy opustoszałym łóżku.

Porwał ją w ręce i nagłym ru-chem podniósł do ust, mając wraże-nie, że gdzieś, w zaświatach, Krysia dziękuje mu najcudowniejszym ze swych dziewczęcych uśmiechów.

S. LUBIENIECKA

Ilustracje M. Szcześnictwskiej





KRADZIEŻ MIMO WOLI

Pani Wanda, choć bardzo nie lubiła wcześniej wstawać, zerwała się dziś wyjątkowo szybko. Dzień był mroźny, pogodny. Śnieg iskrzył się brylantami na rozległych trawnikach, obciążał gałęzie drzew parkowych, gnąc je ku ziemi. Błade, zimowe słońce sączyło swe promienie przez odsłonięte okna, kładąc złote refleksy na różowym kobiercu, pokrywającym posadzkę sypialni pani Wandy.

Śpioszka kończyła swą toaletę, rozczesując puszyste włosy — ułożone falami trwałej ondulacji. Z przyjemnością spoglądała na swe odbicie w lustrze. Duże, szafirowe oczy patrzyły spod ciemnych rzęs, usta ładnie wykrojone, trochę grymaśne. Lekkim ruchem grzebień ukladała misterne fale. Śpieszyła się, niewiele jej bowiem czasu pozostawało do wyjazdu. Myślała z radością o pohycie w Warszawie,

gdzie już tak dawno nie była. Co prawda, coraz rzadsze wyjazdy do stolicy, nie sprawiały jej tyle przyjemności co dawniej — trudne warunki na wsi — tym samym konieczność ograniczania zakupów. A pani Wanda lubiła wydawać. Sprawiało jej niesłychaną satysfakcję chodzenie po sklepach, oglądanie kuszących wystaw — dawniej mogła pozwolić sobie na uleganie pokusom. Dziś, czasy się zmieniły. Każdy wyjazd ze wsi do Warszawy — coraz rzadszy — należało ograniczyć w ramy możliwości finansowych.

Jeszcze przeciągnięcie czarnych brewek olówkiem, dodanie czerwieni wargom, i pani Wanda była gotowa. Lecz brakło jeszcze najważniejszej rzeczy — gotówki. Wyczekiwała nadejścia męża, który miał jej przynieść pieniądze — ile, nie wiedziała. A dużo miała sprawunków przed gwiazdką.

Gdy w drzwiach ukazała się wysoka i barczysta postać męża — pani Wanda podbiegła do niego szybko, i zarzuciła mu ręce na szyję pytając:

— Ile dasz mi kochanie, ile?

— Dostałem pięćset złotych. Sprzedałem żyto. Więcej nie mogę ci dać Wandeczko, staraj się więc opędzić wydatki tymi pieniędzmi. Osobno dam ci na drogę.

— Dziękuję ci Andrzeju. Co prawda będę musiała dużo skreślić z listy sprawunków — lecz jeśli nie możesz mi dać więcej, to trudno.

— A nie wydaj wszystkiego na szmatki. Skorzystaj z pobytu w Warszawie i rozerwij się trochę. Takie dobre sztuki w teatrach. Teraz zbieraj się Wandeczko, już najwyższy czas jechać. Odwiozę cię na stację.

Pan Andrzej wręczył żonie jeden banknot pięćset złotowy, prócz tego pięćdziesiąt złotych drobnymi.

Wyszli na ganek, przed którym stała para pięknych szpaków, za-

przeżonych w lekkie sanki. Państwo Andrzejowie usadowili się wygodnie, okrywając szczerlnie nogi baranią. Szpaki żwawo pomknęły z przed domu i minawszy bramę wjazdową, wypadły na szeroką szosę.

Sanna była wyśmienita. Konie rwały, prychając radośnie. Po półgodzinie jazdy, dojrzano widniejące budynki. Wkrótce znaleźli się przed stacją. Pan Andrzej pomógł żonie wysiąść z sanek.

— Kupię ci bilet Wandeczko — rzekł kierując się do kasy.

Pociąg wpadł sapiąc i dysząc na stację. Pani Wanda znalazła się w przedziale drugiej klasy, gdzie znajdowała się tylko jedna pani.

Podeszła do okna. Pan Andrzej stał obok wagonu.

— Pamiętaj, że za dwa dni, to znaczy w czwartek, będę cię czekał na stacji o dziewiątej wieczór.

— Wrócę na pewno, do widzenia Jędrus!

Pociąg ruszył. Przesunęły się przed jej oczami budynki stacyjne. Wpadli w rozległe, białe przestrzenie. Pani Wanda powróciła do przedziału. Towarzyszka podróży zagłębiona była w czytaniu. Po chwili odłożyła książkę. Pani Wanda obserwowała ją dyskretnie. Ładna, nawet bardzo ładna. Włosy jasne, platynowe, — pewno farbowane — koloru oczu dojrzeć jeszcze nie mogła. Sliczna, zgrabna nóżka wychylała się spod sportowej spódniczki — biała bluzka zapięta była pod szyją. Całość nadzwyczajnie pociągająca. W tej chwili spojrzały na nią modre, podłużne oczy. Sliczna osoba — pomyślała pani Wanda — i bardzo sympatycznie wygląda.

— Czy pani jedzie do Warszawy? — Zapytał mile brzmiący głosik.

— Do Warszawy. A pani? — Odparła pani Wanda.

— Tylko kilka godzin zatrzymuję

się w Warszawie. Jadę w poznańskie do rodziny na święta.

— Ja stale mieszkam na wsi i jadę do Warszawy po sprawunki świąteczne.

— Ach, jak to musi być nudno mieszkac stale na wsi! Ja mieszkam w Katowicach.

Obie panie zaczęły rozmawiać z ożywieniem. Pani Wanda z zazdrością spoglądała na wytworne, z jasno żółtej skóry walizy, oblepione barwnymi etykietkami, które świadczyły, że piękna pani z Katowic wyjeżdżała często za granicę. Nad ławką wisiało śliczne palto z agneaux rasés — szczyt marzeń pani Wandy.

Godziny mijały szybko. Dochodziła pierwsza. Pani Wanda wyczerpawszy temat do rozmowy z przygodną znajomą, zaczęła się nudzić. Po chwili wyszła na korytarz, stanęła przed oknem spoglądając na śnieżną szatą pokryty krajobraz.

Nie będzie sobie mogła kupić nowej balowej sukni — myślała — ani różowej bluzki z crêpe satin do brązowego kostiumu. Za mało ma na to pieniędzy. Ale suknie czarną wizytową koniecznie, przecież ta zeszloraoczna już niemożliwa. Heż ma jeszcze różnych sprawunków. Prezent gwiazdkowy dla Jędrka! Już na pewno nie srebrną papierośnicę,



COMPRIMÉS
VICHY-ETAT [TABLETKI]
α. DAJA SZKLANKE NATURALNEJ
WODY VICHY ZA 10 GROSZY



jak sobie układała, ale choć taką z ładnej żółtej skóry.

Wróciła do przedziału. Zobaczyła swą torebkę leżącą na ławce, zapomniała o niej. Taka zawsze jest nieostrożna. Ale tutaj nie miałyby się czego lękać, jej towarzyszka podróży jest tak wykwinutą i widocznie bogatą osobą.

Piękna pani z Katowic powstała z miejsca i zwróciła się z uśmiechem do pani Wandy:

— Czy mogę panią prosić o przypilnowanie moich rzeczy — muszę wyjść na chwilę.

— Naturalnie, proszę bardzo. — Odparła pani Wanda.

Ujrzała ze zdziwieniem, że piękna pani jest również nieostrożną, gdyż i ona pozostawiła swą torebkę na kanapie.

Po wyjściu nieznajomej z przedziału, pani Wanda sięgnęła do swej torebki po puderniczkę. Przy tej sposobności zauważyła brak banknotu pięćsetzłotowego. W jednej przegródce dokumenty, w drugiej przegródce puderniczka, chustka do nosa pachnąca „Soir de Paris”. Banknotu nie ma. Pani Wanda zaczęła szukać gorączkowo, banknotu nie było nigdzie. Jedyne te drobne pieniądze, które włożyła do portmonetki. Czyżby ta piękna pani zabrała? Pani Wanda uświadomiła sobie, że zdarzają się złodziejki pociągowe, zwykle ładne i eleganckie. Bez wątpienia, ona musiała zabrać banknot. Lecz dlaczego zostawiła swą torebkę w przedziale? Pani Wanda zdając sobie sprawę z czynionej niedyskrecji, podeszła do le-

żącej na przeciwnym siedzeniu torebki z krokodyla — i oczom nie chciała wierzyć, gdy otwarłszy torebkę, ujrzała banknot pięćsetzłotowy! Oczywiście, piękna pani jest zwyczajną złodziejką. Nie chcąc robić skandalu z tego zdarzenia, odebrała ów nieszczęsny banknot, i wsunęła do swej torebki.

Bardzo była zakłopotana, gdy piękna pani powróciła do przedziału i z miłym uśmiechem, jakby nie nic zaszło, rozmawiała dalej z panią Wandą. „Wyrafinowana, międzynarodowa awanturница” — pomyślała pani Wanda, — zbywając ją półsłówkami.

Z ulgą ujrzała podmiejskie zabudowania Warszawy. Nie chcąc prowadzić dalej rozmowy z tą nikczemną kreaturą, zaczęła się zbierać. Zaledwo raczyła skinąć główką nieznajomej, na jej miłe „do widzenia”.

* * *

Szybko minęły pani Wandzie dwa dni pobytu w Warszawie. Pierwszy dzień spędziła na bieganiu za sprawunkami. Wieczór, zmęczona, z prawie próżną portmonetką powróciła do swej kuzynki, u której mieszkała. Pieniądze stopniały tak szybko, że załatwiwszy połowę zamierzonych zakupów, pozostała jej zaledwo sumka konieczna na powrót do domu.

W czwartek wieczór pan Andrzej oczekiwał na stacji przyjazdu pociągu. Gdy zgrzytnęły hamulce i pociąg zatrzymał się, z jednego z wagonów wyskoczyła pani Wanda o-

barczona licznymi paczkami. Pan Andrzej podszedł do żony i uwolnił ją z nadmiaru bagaży.

Gdy szczerze otuleni futrami siedzieli w sankach, mknąc do domu, pan Andrzej odezwał się z uśmiechem:

— Widzę Wandeczko, że poradziłaś sobie doskonale w Warszawie?

— Co to znaczy, poradziłaś sobie? Nie rozumiem cię. — Odparła ze zdziwieniem. Tak jak przypuszczałem załatwiłaś wszystkie sprawunki.

— Nie wszystkie, skądże! Na połowę zakupów nie starczyło mi już pieniędzy.

— Dlaczego?

— Zdawałoby się, że pięćset złotych, które mi dałeś to dużo. Jednak, gdy przychodzi kupować, widzi się, że nie jest to tak wielka suma.

— Jakto? Więc nie pożyczylaś pieniędzy od Wisi?

— Ani grosza, przecież wiem, że chodziło ci o to bym więcej nie wydała.

— Ale skąd miałaś pieniądze na sprawunki? Przecież te pięćset złotych, które ci dałem, zostawiłaś przed wyjazdem na toalecie. Zapomniałaś je wziąć. Po powrocie do domu zobaczyłem je, i zaraz pocztą wysłałem. Wiedziałem jednak, że nie dostaniesz ich tak szybko, więc byłem przekonany, że pożyczysz sobie tymczasem od Wisi. Cóż to za tajemnica?

Pani Wanda milczała przerażona. W tej chwili uświadomiła sobie, że rzeczywiście zapomniiała w ostat-

niej chwili o banknocie. W takim razie, ona jest złodziejką, ona zabrała pięćset złotych pięknej pani z Katowic. Co teraz czynić?

Opowiedziała mężowi swą przygodę w pociągu, z której pan Andrzej uśmieł się serdecznie, uspakajając żonę, że sprawa zostanie wyświetlona. Poda się ogłoszenie do dzienników, poszukiwać się będzie prywatnie pięknej pani z Katowic, celem wyjaśnienia, i zwrócenia skradzionej mimo woli sumy.

MARIA LESZCZYC

Ilustracje Jerzego Młodnickiego





Taniec meksykański w filmie Tobisu p. t. „Sierżant Berry”. Fot. Polski Tobis



Zamek „Olavinlinna“ w Savonlinnie

Statkiem przez fińskie jeziora

Savonlinna, to nazwa wielkiego letniska, leżącego na południowym skraju Środkowo-fińskiego Pojezierza, tej dziwnej krainy, będącej labiryntem niezliczonych jezior-nych tafli o brzegach porośniętych odwiecznymi borami. Mówi się o Finlandii jako o karju 1000-ca jezior, ale mało kto wie, że nie 1000, lecz 90.000 jezior liczy Finlandia. Jeziora rozrzucone są po całej Finlandii, najwięcej skupia się ich jednak na południu kraju w obszarze pojezier-ny, na t. zw. „wyżynie jezior fiń-skich“, wzniesionej 200 m. ponad poziom Bałtyku.

Główną cechą fińskiego krajo- brazu jest woda i sosnowo-świerko- wy las, stary, pierwotny bór, a na

obszarze pojezierzy te cechy jeszcze się potęgują. Gdzie spojrzeć, srebr-zyste zwierciadła jezior o podłuż-nych, poszarpanych kształtach, u- siane niezliczonym mrowiem więk- szych i mniejszych wysepek, kon- trastują z ciemną zielenią borów, zarastających rzucone wśród wód skrawki ziemi. Podczas krótkiego północnego lata Pojezierze Fińskie to wymarzona dla wywczasów kra- ina. Rojno tu wówczas od zjeżdża- jących z całego kaju, a i z zagra- niccy letników: Po jeziorach uwi- jają się niezliczone motorówki, ło- dzie i żaglowe jachty. Przez trzy miesiące rzucone wśród jezior osa- dy i letniska żyją bujnym życiem sezonu, aby z nastaniem zimy po-

grażyć się znów w ciszy i martwocie.

Savonlinna, leżąc nad przesmykiem, łączącym jezioro Sajma z Hauki Vesi, połączona kolejką i szosą z Vipuri, nie pozostawiała na pewno za innymi letniskami. Widać to było po pełnych hotelach i pensjonatach, po ruchu na przystaniach, po ilości łodzi i motorówek wypływających na jeziora. Charakterystyczną cechą tej milej osady nadaje leżący na malej skalistej wysepce średniowieczny romański zamek „Olavinlinna”. Sylwetka jego jakby wyrastająca z toni jeziora, ozdobiona trzema okrągłymi basztami stała się nieodłącznym symbolem Savonlinny. Po prostu żaden Fin nie potrafiłby wyobrazić sobie tego letniska bez zewsząd widocznej sylwetki zamku. A trzeba przyznać, że „Olavinlinna” cieszy się niemalą popularnością. Bez przerwy, ze specjalnej przystani położonej na skraju pięknego parku naprzeciw zamku, płyną łodzie ze zwiedzającymi (połączeniu innego z lądem zamek nie ma), a wewnątrz snują się o każdej porze dnia grupy turystów, oprowadzanych przez przewodników. Zamek choć niewielki robi jednak swymi potężnymi murami i bastionami, oraz samym swym położeniem wrażenie niezdobytej, jak na średniowieczne warunki, twierdzy. I rzeczywiście jako zamek na pograniczu z Rosją przez długie wieki opierał się zabobrym zakusom sąsiada i został zdobyty dopiero w XVIII wieku przez rosyjskiego generała Suworowa. Wnętrze doskonale zachowane potęguje jeszcze bardziej wrażenie obronności. Potężne mury, wzniesione z granitowych otoczek i wnętrza baszt oświetlone okrągłymi otworami strzelnic, zdają się być dopiero przed chwilą opuszczone przez załogę. Wszędzie znać staranie, aby zabytek nie doznał ze strony czasu najmniejszego

zniszczenia. Urządzenia niektórych sal częściowo zrekonstruowano, nadając im trzynastowieczny charakter. Ciekawą jest pod tym względem wielka sala rycerska i mroczne sklepione komnaty w basztach. Na jednym z małych dziedzińców pokazuje przewodnik wystający z muru na wysokości jakiegoś metra duży, płaski głaz. Służył on jako podpora głowy, ścinanych toporem skazańców. Z najwyższego piętra baszty przez duże okrągłe strzelnice rozciąga się daleki widok na tafle jeziorne, przeświecające z za lasów aż hen po horyzont.

Z przystani, otoczonej wielkimi białymi hotelami, odchodzą co dnia statki do Joensuu, Mikkeli, a przede wszystkim do centrum pojezierza, Kuopio. Białe te statki, wyglądające na pozór niegrabnie ze swymi dwoma nad sobą leżącymi

Malownicze baszty Olavinlinny





Na fińskich jeziorach

połkami, są jota w jotę jeden do drugiego podobne i rozróżnić je można jedynie chyba po umieszczonej na dziobie nazwie, zwykle zapożyczonej od nazwy jakiejś osady czy jeziora. Odszukujemy statek, odpływający do Kuopio i lokujemy się w przeznaczonych dla nas kajutach na 24-godzinną podróż. Za chwilę jednak sygnały odjazdu i szum rozbijających wodę śrub zwabia wszystkich na pokład. Statek nasz nosi nazwę „Hainävesi I”, ma 150 ton pojemności i cały aż błyszczy czystością i bielą lakieru. O godzinie 13⁰⁰ odbijamy od przystani i statek nabierając szybkości kieruje się ku jezioru Hauki Vesi. Wpływamy najpierw w długi łańcuch małych jezior, połączonych wąskimi przesmykami. Brzegi są skaliste, niskie, pokryte świerkowymi i sosnowymi lasami. Statek przepływa ciągle obok skalistych szkieletowych wysepek, o płaskiej, podobnej do okrągławych tarcz, wyglądzonej przez lodowce dyluwialne

powierzchni. Czasem na wysepkach tych rosną kępy sosen, ale częściej są one nagie, bezdrzewne. Krajobraz składający się z trzech właściwie elementów; wody, lasów i nieba mógłby się wydawać jednolity, wprost jednak przeciwnie przykuwa wzrok do siebie i budzi nieklamany podziw. Być może, że przyczynia się do tego wymarzona pogoda. Na jasnym błękicie nieba suną śnieżne białe obłoki, przeglądając się w toni jezior. Jasne słońce zapala w wierzchołkach małych fal srebrzyste, migające skry, a rozbitą śrubami statku wodę, która jak długi ogon wlecze się za rufą, zmienia w rtęć i roztopione srebro.

Wreszcie wypływamy z labiryntu wąskich, pełnych wysp, jezior na szerokie, aż po horyzont rozlane wody Hauki Vesi. Wiatr, który dotąd wiał dość silny, uciekł zupełnie i powierzchnia wielkiego jeziora wygląda jak gładka, srebrno-błękitna równia, zakłócana jedynie stwarzanymi przez pudło statku falami.



Skaliste wysepki i cieśniny między wielkimi jeziorami

Szczególnie piękne efekty daje obserwowanie tych fal, tworzonych przez tnący toń dziób statku, rozbryzgujący wodę w miliony srebrzystych iskier.

Kilkakrotnie mijamy statki, holujące wielkie transporty powiązanych w snopy obrobionych pni drzewnych, ciągnionych za statkiem, jak potworny ogon. Dziwacznie wygląda taki mały stateczek, wlokący za sobą całą ruchomą wyspę drzewnych pni, kilkadziesiąt razy przewyższającą go. Inne statki wiozą na pokładach duże sterty drzewnych pni. Jak widać drzewo jest głównym artykułem, dostarczonym przez tę krainę lasów. Czasem znów ciszę zakłóci stukiem swego motorka sunąca po jeziorze motorówka, ale z jej zniknięciem powraca znów pustka i jakaś tkwiąca w krajobrazie melancholia. Gdyby nie małe osady z rzadka rozsiane na wybrzeżach jezior, możnaby czasem mniemać, że pasażerowie statku, to jedyni ludzie wśród tych

wodnych pustkowi. Małe nadbrzeżne wioski, składające się z kilku czerwonych, białookiennych domków, wykorzystujących wąski pasek brzegu między wodą, a ścianą lasu, były podczas długich godzin jedynym śladem ludzi. Od czasu do czasu statek zawijał na prymitywne przystanie tych osad, aby zostawić pocztę lub zabrać czy wysadzić pasażerów, zwykle chłopów z dolnego pokładu III-ciej klasy.

Kapitan, sympatyczny staruszek i dawny wilk morski L. W. Kyykoski zainteresował się grupą Polaków na jego statku i szybko powiązały nas nici wzajemnej sympatii. Niedawno jeszcze kapitan Kyykoski służył w morskiej flocie, a teraz na starość pływa po jeziorach. Przed kilku laty był nawet na swym dawnym statku w Gdyni i do dziś zachował o niej i o Polakach najlepsze wrażenia. Odwiedzamy go z kolei w jego kapitańskiej kajucie na przodzie górnego pokładu. Staruszek sprawił nam naprawdę miłą

niespodziankę, nastawiając swój radioaparat na Warszawę i po chwili z głośnika popłynęły tony orkiestry z „Bristolu” w ramach niedzielnego podwieczorku przy mikrofonie, chyba po raz pierwszy słuchanego przez Polaków na wodach fińskich jezior. Za chwilę speaker zapowiedział „chwilkę biura studiów”, byliśmy tej niedzieli chyba najwytrwalszymi słuchaczami pana K. Ejdziatowicza, wsłuchując się w tony tak dawno niesłyszanej polskiej mowy płynące z ojczyzny.

Po 18-tej godzinie statek nasz wjeżdża w wąski przesmyk, łączący przebyte jez. Hauki Vesi z Kermajärvi, którego tafla leży o kilka metrów wyżej. Dla umożliwienia statkowi przedostania się na to jezioro wybudowano w przesmyku małe komory śluzowe, z których ostatnia największa Keruna pozwala statkowi na pokonanie dwumetrowej różnicy poziomów, podczas gdy dwie poprzednie służy dźwiga-

ły statek tylko o jeden metr. Za słuzą Keruna znów lśnią w promieniach zachodzącego słońca spokojne, jakby śpiące wody jez. Kermajärvi. Wyczuć można wyraźnie zbliżający się kres dnia. Niebo przyjmuje zwolna kolor seledynu, barwiony jeszcze na zachodzie zachodzącym za ciemne ściany nadbrzeżnych borów słońcem. Z gładkiej jak olbrzymie zwierciadło, zaróżowionej wieczorną zorzą powierzchnii jeziora podrywa się za zbliżeniem statku para nurów, mącąc gładź wód uderzeniami skrzydeł i znika za lasem. Coraz większy spokój i senna spływają na sine jeziora.

O 22 g. zawijamy na przystań małej osady Heinävesi, noszącej to samo imię co nasz statek i tu zatrzymujemy się do drugiej rano. Załoga ładuje na statek drzewo dla palenia pod kotłem maszyny, a pasażerowie jeden po drugim znikają w swych kajutach. Słońce zaszło już dawno, a na senną, siną taflę

Statek z ładunkiem drzewa na fińskich jeziorach





Statek holujący tratwy na jeziorze Hauki-Vesi

jeziora wypełzają pajęczyny białych mgieł. Od wschodu wypelzła miedziana tarcza księżyca i powoli wznosi się coraz wyżej i wyżej. Od osady nie dochodzi już żaden odgłos życia. Świat spowila na dobre letnia biała noc.

Wczesny ranek tuż przed wschodem słońca, to chyba najpiękniejsza chwila na fińskich jeziorach. To co przesuwają się przed oczyma sówicie wynagradza trudy nieprzespanej nocy. Statek już od pół godziny był w drodze, prując gładką jak szklanna tafla toń jeziora Ruoko Vesi. Błady błękit nieba zdawał się być gdzieś nieskończenie wysoko. Na wschodzie coraz silniejsza różowa luna zwiastowała bliski wschód słońca. Od tych porannych zórz różowiły się opary mgieł, spowijające nadbrzeżne lasy i snujące się nad jeziorami. Nagle nad lasem zabłysła jaskrawa tarcza słoneczna kładąc na wodzie rażący oczy refleks. Za chwilę zakryły słońce ob-

łoki mgły, rozczepiając jego promienie na fantastyczne snopy światła. Zaczęła się jedyna w swoim rodzaju walka między słońcem, a wilgotnymi, zimnymi oparami, które pod wpływem ciepła słonecznego zaczęły rwać się na strzępy i znikać, aż odsłoniły zupełnie budzące się do dziennego życia wody i lasy, i liczne wioski na brzegach z pustymi jeszcze przystaniami.

O godzinie 7 przybija nasz statek do Kuopio, gospodarczego i kulturalnego centrum fińskiego pojezierza i prowincji Savo. Miasto liczy 24.000 mieszkańców i cieszy się malowniczym położeniem na wąskim lądowym przesmyku, wdzierającym się między jeziora. Nad miastem wznosi się najwyższe w tej części pojezierza 230 metrowe wzgórze Puljo ze specjalnie wzniesioną obserwacyjną wieżą. Jest to najlepszy punkt widokowy fińskiego pojezierza, pozwalający na podziwianie krajobrazu w promieniu 100 km. Specjalnie umieszczone na



Jedna ze śluz między jeziorami

szczytowej platformie wieży zdjęcia fotograficzne i mapy pozwalają na zorientowanie się w nazwach lśniących, gdzie spojrzeć wokół jeziornych tafli, między które wdzierają się macki zalesionych półwyspów i wysp. Patrząc z tej wieży na krajobraz, jak na żywą, plastyczną mapę, można zdać sobie najlepiej sprawę z kształtu jezior i konfiguracji terenu. Jeziora mają przeważnie kształty mocno wydłużone o kierunku północny-zachód południowy-wschód. Swe powstanie, kształt i kierunek zawdzięczają jeziora fińskie działaniu lodowca dyluwialnego i erozji wodnej. Genetycznie wydziela się wśród nich dwa główne typy: szczelinowe i zaporowe. Pierwsze powstały w rozszerzonych przez erozję szczelinach skalistego podłoża lub w miejscach zwietrzenia mało odpornych warstw skąd nagromadzoną zwietrzelinę wytransportował nadciągający z północy dyluwialny lodowiec. Drugi typ to zatamowane materiałem

akumulacji lodowcowej ujście dolin rzecznych, odkształcone w swym profilu działaniem lodowca.

I znowu siedzimy w pędzącym na północ pociągu. Unosi nas fiński „ekspres północny“, złożony z trzech zaledwie wagonów, przez szeroką nizinę środkowo-fińską ku wybrzeżom Botnickiej Zatoki do Oulu. Dawno już zostało za nami Kuopio i kraina jezior. Wzdłuż toru ciągną się szerokie szaro-zielone równie podmokłych łąk ze stadami białego, północnego bydła o cofniętych charakterystycznie do tyłu rogach. To tu, to tam szarzeją grupki bardzo pierwotnych szalasów o ścianach rozchylających się ku górze. Obszary łąk oddzielają od siebie długie sznurowy osobliwych płotów z pochyło wbitych w ziemię pali. Ale nade wszystko w krajobrazie przeważają lasy z coraz większą przewagą brzozy. Obok nielicznych stacji piętrzą się całe góry drzewa do opalania maszyn kolejowych. W ogóle drzewo jest w Finlandii



Ogólny widok z wybrzeża Puijo na jeziora w okolicy Kuopio

Jedynym materiałem opalowym i obok energii elektrycznej pędnym w przemyśle i komunikacji kolejowej i okrętowej na jeziorach. A ma go kraj ten pod dostatkiem. 79,4% powierzchni kraju zajmują lasy, a tylko 9,8% pozostaje na pola uprawne i łąki. Nie też dziwnego, że w tych warunkach całe życie gospodarcze kraju i cały przemysł są nastawione na eksploatację i przeróbkę drzewa. Drzewo i przetwory drzewne jak dykta, papier, tektura, celuloza stanowią 90% wywozu, a przemysł fiński wyspecjalizował się między innymi w fabrykacji szpilek do nici. Największe tego rodzaju zakłady leżą w Kuopio. Poza tym drzewo ma bardzo szerokie zastosowanie w budownictwie. Poza wioskami, nawet mniejsze miasta są wzniesione prawie wyłącznie z drzewa, tego siłą rzeczy, najtańszego budulca. Dla transportu pni drzewnych z głębi kraju używa się przede wszystkim rzek, po których spławia się luźne pnie do portów

nad Zatokę Botnicką lub do wielkich tartaków. To też na każdej większej rzece fińskiej widzi się specjalnie ograniczony powiązanymi pniami nurt, którym bez przerwy płyną bezładnie masy pni, a pomysłowe odgrodzenie nurtu zapobiega zatrzymywaniu się pni na wystęпах brzegu i powstawaniu zatorów. Największymi portami drzewnymi nad Zatoką Botnicką są Oulu (Uleaborg) i Kemi, leżące nad ujściami największych na północy Finlandii spławnych rzek — Oulu i Kemi.

W Oulu zaczyna się najbardziej północna linia kolejowa, łącząca to miasto z leżącym na północnym kole podbiegunowym u wrót fińskiej Laponii Rovaniemi. Czas jakiś ta linia kolejowa biegnie wzdłuż wybrzeża zatoki, a od Kemi skręca na północ w dolinę rzeki Kemi. Im dalej na północ, krajobraz staje się coraz bardziej monotony. Lasy świerkowo-brzozowe poprzerywane wielkimi polanami z małymi coraz



Zwodzony most na szosie przecinającej jeziora

Heinawesi I na wodach fińskich jezior



DOM FILATELISTYCZNO-WYDAWNICZY**ARKADIUSZ PACHOŃSKI**

Warszawa, ul. Jásna 16, tel. 657-68

Polecam: znaczki całego świata w seriach i pojedyncze sztuki, różne odmiany znaczków Polski, katalogi do znaczków całego świata, przybory filatelistyczne.

Wydaje: albumy do znaczków Polski i całego świata — Opuściły prasę drukarską następujące albumy do znaczków pocztowych, bogata ilustrowano. każdy kraj nabywać można osobno:

Narwegia zł. 1.25, Belgia zł. 3 —, Czechosłowacja zł. 2.—, Francja zł. 2.—, Finlandia zł. 1.20, Niemcy zł. 3.—, Rosja zł. 2.—, Włochy zł. 4.—. Album do znaczków całego świata Nr. 9 cena zł. 6 — i zł. 8.50 album Nr. 14 zł. 19.— i zł. 26 —, album Nr 15 zł. 30.— i zł. 37.—, cennik bezpłatnie

rzadszymi osadami, przy których widać stada bydła. Niekiedy spostrzec można samotnego rena, który tu zawędrował z bliskiej Laponii i na widok pędzącego pociągu sady w las dzwigaając na głowie koronę swych wielkich obrośniętych

skórą rososch. Laponia, a z nią egzotyizm Północy, stają się coraz bliższe coraz bardziej widoczne.

WOJCIECH WALCZAK

(Kraków).

Obszary podmokłych łąk na północy Finlandii między Oulu a Rovaniemi





M I K R O B

W kancelarii urzędu prokuratorskiego czterech pracowało referentów. Trzech z cenzusem naukowym. Lupescu, przezywany dla swej zażyłości Nababem, Tomaidi, zwany Grekiem i Ionescu, nazywany muzykiem, jako że posiadał miły, dźwięczny głos. Czwarty, skryty Iorgu Popescu, nosił przezwisko Mikrob. Przedtem nazywał go Tomaidi uszczypliwie Dynią dla żółtej twarzy, później jednak Nabab ochrzcił go mianem Mikrob, jako że biedulek był niepozorny, a na głębie szpetny, nie mówiąc już o tym, że pojęcie mikrob więcej było dostosowane do nowoczesnych zagadnień naukowych. To też nazwa Mikrob przyłgnęła do niego na zawsze.

Trzeba przyznać, że Nabab miał szczególniejszy talent do wynajdywania przezwisk, że zaś Popescu wyglądał jak półtora nieszczęścia, więc trudno było o bardziej zgry-

źliwy a trafny przydomek. Muzyk Ionescu popisywał się chętnie znajomością łaciny, gdy więc dostrzegł na twarzy Mikroba wyraz smutku, zaczął nalegać, by uzupełnić przezwisko dodatkkiem „microbus melancholicus”. Nabab jednak sprzeciwił się temu stanowczo, uważając że cudzoziemskie dodatki obniżyłyby wartość pięknego i prostego imienia Mikrob.

Atoli trzech prawników nie mogli dojść do wspólnego wniosku na punkcie określenia wieku Mikroba. Tomaidi wychodził z założenia, że wobec braku u Mikroba wąsów oraz wobec jego ucięższej figurki i piskliwego głosu, nie mógł on mieć więcej niż lat piętnaście.

Natomiast Nabab i Muzyk, biorąc pod uwagę nieproporcjonalność w wymiarach głowy i tułowia Mikroba, nadto zmarszczki na czole i pod oczami, a głównie zmęczony

wyraz twarzy, oceniali wiek jego na lat trzydzieści co najmniej.

Faktem jest, że Mikrob przychodził do biura punktualnie o dziewiątej, a wychodził z biura punktualnie o szóstej, podczas gdy trójka uczonych prawników zjawiała się około jedenastej, a około trzeciej opuszczała pole pracy. Faktem jest dalej, że prostaczek bez cenzusu naukowego pracował sprawniej niż trzech uczeni razem i że tylko dzięki jego gorliwości panował w biurze taki porządek.

Ale czy w ogóle warto mówić o tych drobiazgach, które bynajmniej nie przeszkadzały panom z cenzusem naukowym zadawać bolesne uklucia biednemu Mikrobowi? A przy tym te niewinne żarty tak były pocieszne, że nawet naczelnik słysząc je, nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Ale na serio! Czy można było mieć lzy w oczach, gdy się widziało jak ten gamajda Mikrob szukał kluczy po wszystkich kieszeniach, jak je wywracał podszewką na wierzch, jak wlażył pod stół lub szperał między papierami?

Do szuflady chował zwykle swe śniadanie... dwie kromki chleba, przełożone cieniutką warstwą wędliny. Wstydził się tej skromnej przekąski i nigdy nie chciał się przyznać, czego właściwie szukał, choć Nabab, złośliwie ukrywszy kluczyk w kieszeni, wciąż go o to pytał. To też śniadanie opóźniało się, aż wreszcie Muzyk znajdował niby to pod swymi aktami kluczyk, położony przez Nababa.

— Że też ty Mikrobie, niedorajdo, nie potrafisz nigdy niczego znaleźć — mawiał wówczas.

A czy nie było sto pociech patrzeć jak koledzy Mikroba, który zarzucał palenie, puszczała mu pod nos dym z papierosów? Przyprowadzało go to do rozpacz i daremnie ich błagał, by zaniechali tych figlów. Ale najlepsza była zabawa, gdy Mikrob wracał z kasy z miesiącymi

poborami. Wpadał do pokoju jakby go kto gonil. W prawej dłoni ścisnął kurezowo pakiecik banknotów, a lewą przytrzymywał kieszeń, w której ukrył srebro i bilon.

Śnieli się wówczas do rozpuku! Tomaidi naśladował go do złudzenia, a Muzyk wołał:

— He, Tomaidi! Pokaż jak Mikrob wraca z kasy!

Tomaidi łapie kapelusz i wybiega z pokoju w płasach, przepraszając za swój ubiór, który nie odpowiada dostojności Mikroba i staromodnemu, pełnemu dystynkcji jego ubraniu. Po chwili wpada jakby go gonil rozbójnik, trzymając kurezowo w prawej dłoni pakiecik papierków, a lewą przytrzymując kieszeń od spodni. Podbiega do biurka, kładzie pieniądze, wyciąga z kieszeni srebro, drżąc na całym ciele i raz po raz rzuca na drzwi niespokojne spojrzenie. Zaczyna rachować, myli się, zaczyna ra nowo i znów się myli. Kapelusz obsuwa mu się na nos i spada na podłogę. Ogląda się trwożliwie, jak gdyby się obawiał, że go ktoś ukradnie i szuka w roztargnieniu notatki, którą wreszcie znajduje pod aktami.

— Brawo, brawo, Tomaidi! Jesteś nieporównany!

Teraz Tomaidi, chcąc spotęgować zabawę, zaczyna naśladować Lupescu. Udaje, że dostał od Mikroba cztery banknoty, chwytła je konwulsyjnie koniuszkami palców, dmucha na nie i usiłuje je złapać w powietrzu, a potem zgarnia je łapczywie.

— Brawo, brawo, Tomaidi! Jesteś nieporównany!

— — — — —
Szlachetna postawa uczonych pisarzy nikogo nie wprowaź w zdumienie. Zjawisko podobne obserwować można i u psów. Szczeniaka, gdy biegnie środkiem ulicy nadęty, pewnym krokiem, żaden pies nie zaatakuję. Jeśli natomiast prze-

krada się trwożliwie pod murem, wywołuje napad, pogoń i walkę na zęby.

Skoro więc nawet psy prześladowają słabych, to jak mają się zachowywać trzej młodzi ludzie z cenzusem w stosunku do Mikroba, będąc wszakże tylko ludźmi?

Spojrzyjcie panowie — odzywa się tonem mentorskim Tomaidi, korzystając z chwili gdy szef wyszedł z pokju.

Patrzcie! Na pogrzebaczku podnoszę w górę dziurawy kalosz. Może który z was myśli, że to jest stare pudelko blaszane, lub zniszczona teczka adwokacka? Nie podobnego! Macie przed oczyma historyczny kaolsz-śniegowiec w którym Hannibal, idąc na Rzym, przedierał się przez Alpy podczas śnieżnej burzy.

— Mikrob — dodaje Muzyk — ofiaruj ten pamiątkowy kalosz do Muzeum Narodowego, a otrzymasz sowitą nagrodę i będziesz bogaty.

Kto wśród głośnego śmiechu pośpiesznie siada przy biurkach Naturalnie, że panowie z cenzusem naukowym! A kogo zastaje stojącego pośrodku pokoju pan prokurator? Oczywiście Mikroba, który chce usunąć leżący na podłodze kalosz...

— Co to ma znaczyć? Co się tu dzieje? Czy jestem w biurze, czy w szynku? — pyta prokurator glosem nie wróżącym nic dobrego.

— Panie... panie... prokura...

— Proszę się nie tłumaczyć. Podobne nieposzanowanie biura... urzędu... to niesłychane! Jak pan śmie hałasować pod drzwiami mego gabinetu? Jeśli raz jeszcze coś podobnego powtórzy się, usunę pana natychmiast.

Akcentując słowo „natychmiast“ zamyka pan prokurator za sobą drzwi, wiodące do jego gabinetu.

Dobrze ci tak Mikrobie, skoro nie potrafisz spokojnie siedzieć na miejscu.

To „raz jeszcze“ powtórzyło się po upływie kilku zaledwie dni.

— Panowie — rzekł Nabab — przykro mi bardzo, ale przy całej swej brzydocie jest on mrukliwy i patrzy spode łba, jakby co najmniej wieś podpalił.

— Panie Lupescu, niech mi pan da pokój. Czy ja kiedykolwiek panu ubliżam?

Rozmowę przerywa wiceprokurator, który przechodzi przez pokój,





kierując się do gabinetu szefa. Mikrob pracuje dalej. Nabab nie ustępuje i naciera znowu.

— Tego by tylko brakowało, żebyś mi ubliżał. Spróbuj tylko, a zobaczysz czym to pachnie.

Mikrobowi wypada ołówek. Drżąc cały, nachyla się, by go podnieść.

Ale dziś jest dla niego dzień feralny, bo nie potrafi się opanować, lecz daje się unieść fali rozgoryczenia i gniewu.

Muzyk stawia wniosek, by go nazwać „microbus furiosus”.

Wywołuje to salwę śmiechu, a śmiech jak wiadomo, jest chorobą zaraźliwą. Śmieją się wszyscy, nie wyłączając woźnego, który stanął w drzwiach i zakrywa usta dłonią. Mikrob podnosi ołówek i zaczyna pisać.

— Przypatrz mu się, Tomaidi, przecież on oszalał. Patrz, patrz!

— Zbyt pan się denerwuje. Ra-

dzę zażyć trochę bromu. A może pan nie ma za co kupić bromu? Przyjdź pan do mnie wieczorem, to panu dam pieniędzy, a oprócz tego podaruję panu różowy krawat. Będzie panu w nim do twarzy i cera się panu wyjaśni.

— Niech mi pan da spokój, panie Lupescu — prosi Mikrob podniesionym głosem, mocno podrażniony.

Na jego twarzy i w drżących wargach nie ma kropli krwi. Serce kołacze mu się w piersi, przypartej do krawędzi stołu. Ale w księdze przeznaczenia, gdzie nawet kropczki nad „i” wykreślić nie można, stoi wyraźnie, że dziś nastąpi koniec.

— Jazda Nabab, naucz go rozumu — wołają koledzy, dotknięci ostrym głosem Mikroba.

— Wściekłeś się? A możesz się zakochać? krzyczy Nabab.

— Doskonale! Badaj go dalej. Musimy dowiedzieć się prawdy.

— Słuchaj Muzyk. Czytałem niedawno o pewnej teorii naukowej. Albo ojciec jego był pijany gdy go płodził, albo matka była wtedy wstawiona.

Napróżno usiłuje Mikrob podnieść ołówek, który znów mu wypadł z ręki. Podnosi go wreszcie, ale zamiast pisać, zrywa się i drze papier na biurku. A potem woła:

— Łajdaku, szubrawcze!

Drzwi od gabinetu otwierają się. Wchodzi pan prokurator w towarzystwie dwóch wiceprokuratorów. Mikrob chwytą kałamarz, oblewa ubranie jednego z wiceprokuratorów i mierzy z całej siły w Nababa.

Kałamarz przelatuje tuż nad głową prześladowcy i rozbija się w drobne kawałki o przeciwną ścianę.

Mikrob zrywa się z miejsca, potyka się o padające krzesło, zrywa się na nowo i usiłuje dogonić uciekającego Nababa.

Wiceprokurator chce go zatrzy-

mać. Mikrob szamocze się z nim... krzyczy, biega i klnie, wodząc błędnymi oczami po obecnych. Po tym wyczerpany, goniąc resztkami sił, pada jak kłoda i woła stłumionym głosem:

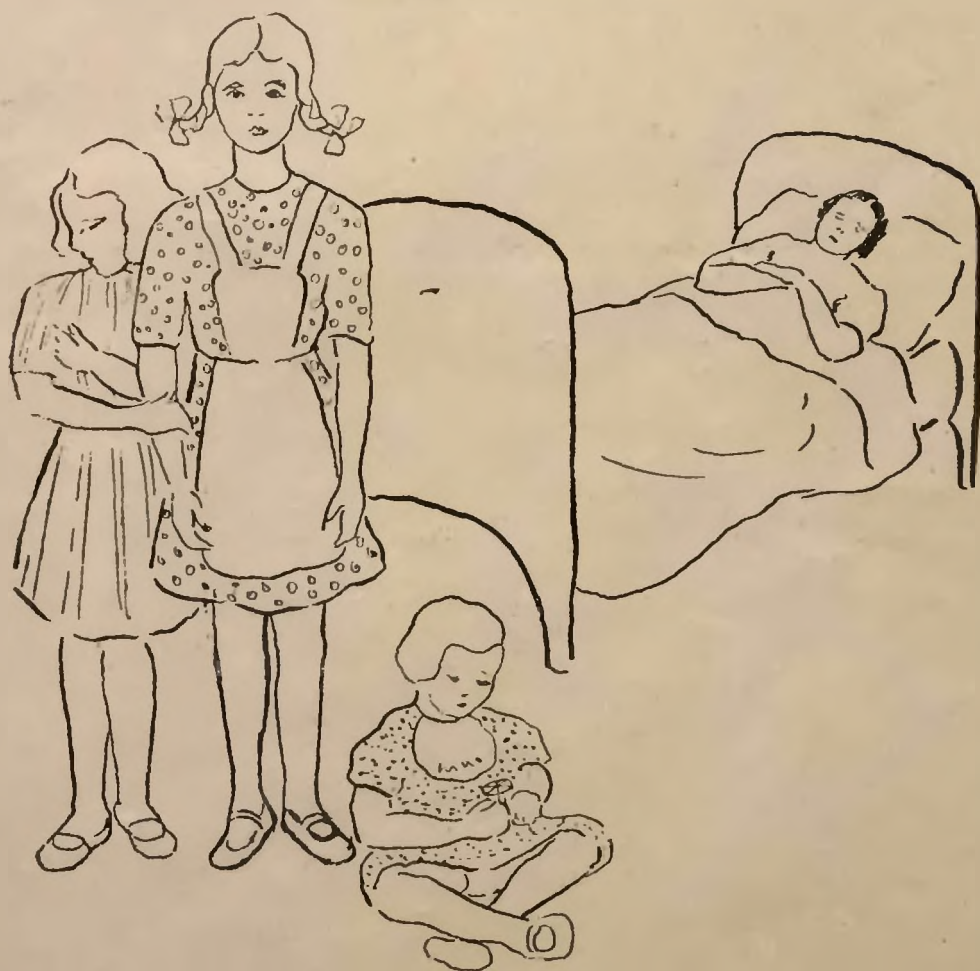
— Boli mnie, bardzo mnie boli... o Boże!

W towarzystwie paru znajomych idzie Muzyk do kręgielni Wagnera. Zatrzymują się przy wiadukcie kolejowym i podziwiają wspaniałe dworzec kolejowy, jarzący się tysiącem świateł na tle wieczoru. Wszędzie różnokolorowe ogniki.

Tuż obok para czerwonych ślepi w pobliżu małe lampki żółte i zielone, a w oddali krzyżują się, zbliżają się i oddalają od siebie barwne sygnały w nieustającym ruchu i ciągłej pracy. Próżnoby szukać na niebie piękniejszej konstelacji! Po tamtej stronie wiaduktu stoi jakaś drobna postać kobieca, oparta o poręcz. Muzyk podchodzi do niej zaciiekawiony.

— Zostaw ją — wołają koledzy. — Spóźnimy się na kręgle. Chodź prędzej! — Idźcie naprzód, zaraz was dogonię — odpowiada Muzyk, oniemiały z przerażenia.

To nie kobieta, to Mikrob bez



krawata i bez kapelusza, wpatrzony w błędne światelka kolejowe.

— Co się z panem dzieje? Co pan tu robi?

— Ciekaw pan jest co robię? Niech pan idzie ze mną, to się pan dowie.

Chwyta go za rękę i ciągnie na dół ze schodów. Muzyk nie opiera się. Raptem tłoczy mu się do mózgu straszna myśl, że Mikrob chce się zemścić, ale przykuty jakąś niewidzialną siłą, nie może wyrwać mu się z ręki.

Minęli uliczkę na lewo, drugą na prawo i podeszli do skromnego, czyściutkiego domku z małym ogródkiem przy chodniku.

— To przecież nie ma nic wspólnego z Mikrobem — pomyślał Muzyk.

Wąski korytarz, a obok trzy dziewczynki. Najstarsza ma może dziesięć lat. W głębi na łóżku leży skulona stara kobieta.

— Dlaczego wyrzucili go z urzędu? — pyta płaczliwym głosem.

— Niech pan powie — szepcze Mikrob — że pan przyszedł mnie zabić... już, już...

Zapytajcie Muzyka co odpowiedział, gdy usłyszał, że trzy dziewczynki to siostry Mikroba, a chora kobieta, to jego matka i że je utrzymywał ze swej pracy, gdy jak wół orał od rana do wieczora w urzędzie.

Zapytajcie Muzyka, czy już zaniósł do Muzeum Narodowego dziurawy kałosz Hannibala?

A gdy Mikrob, zamiast dźgnąć go nożem, przycisnął głowę do zimnych kafli pieca i cicho zaszczołał, wówczas ugięły się pod Muzykiem kolana, zbliżył się do łóżka starszki i ucałował jej rękę.

ION BRATESCU-VOINESTI

Autoryz. przekład z rumuńskiego
W. Olszewski

Ilustr. M. Szczesniewskiej

ROZMOWA

W ciepłej, pachnącej atmosferze gabinetu kosmetycznego przyjemnie było poddawać twarz pieczęcie rąk kosmetyczki, która z miłym sugestywnym uśmiechem udzielała rad, jak powstrzymać uciekającą w nieubłagany bieg młodość.

Zgrabne palce wibrowały po zmęczonej twarzy, miały swoją własną wymowę i życie. Twarz pokryta białą niesamowicie wyglądającą maską robiła wrażenie groźne i upiorne.

Być tak ładną i młodą, jak ta kobieta, której palce i wiedza miały pomóc przy zachowaniu urody. Może wtedy Zygmunt nie dochodziłby od niej z każdym dniem obojętniejszy.

Minio woli wyrwać się z ust pytanie: — „Ale pani musi być bardzo szczepiwa, taka pani młodziutka i ładna?!”

Pytanie zabrzmiało w ciszy gabinetu pełne nieświadomego napięcia, pragnące, domagające się odpowiedzi. Ręce kosmetyczki zatrzymały się na jedną chwilę w pracow-

tym krążeniu. Czy obu kobiet spotkały się w lustrze. W jednych tkwiło nieme zapytywanie, w drugich zabłysnął cień żalu i jakby rozpacz.

Nie! — odpowiedziała prosto zapytana. — Przepraszę panią na jedną chwilę. Wezmę proszek „z Kogutkiem” — głowa mnie boli. A to jest jedyny świetny środek, który od utraty mojego narzeczonego trzyma mnie na nogach.

Pacjentka spojrzała współczująco i z wahaniem spytała:

— Czy umarł?

Tak na miesiąc przed ślubem — z trudem przeszła odpowiedź przez krtań zapytanej.

Serce kobiety siedzącej w fotelu drgnęło współczuciem, ale i radością, że jednak człowiek kochany przez nią żyje. — A póki żyje zawsze jest przecież nadzieja, ta największa ostoja ludzka.

Twarz kosmetyczki sprężyła się w wysiłku i znowu oblał ją stereotypowy uśmiech. Panowała pachnąca przyjemna cisza.



Sentymentalne intermezzo

Panowało łagodne wiosenne popołudnie. Henryk Tingle, agent znanej firmy eksportowej w City, szedł w kierunku Northumberland Avenue, aby tam zainkasować pewien rachunek. Rzadko miewał okazję do spacerów w tych ruchliwych dzielnicach West-Endu. Chodził co dzień prosto ze swego mieszkania przy Shepherd's Bush do biura przy Ludgate Hill; w niedzielę zaś pozostawał w domu i zajmował się kolekcjonowaniem znaczków pocztowych, czytał rycerskie romanse, alboważ też rzeźbił na strunach tego ciekawego instrumentu, który nazywają cytrą.

Zainkasował należność za rachunek i szedł powoli w kierunku Trafalgar Square, gdy stał się nagle

świadkiem katastrofy. Miał później wrażenie, że jakaś nadprzyrodzona siła kierowała jego krokami, aby był obecny przy tym wypadku. Henryk Tingle bowiem wierzył we wróżby i bzdurne przesady.

Ujrzał wyraźnie dwa duże wozy najeżdżające w pędzie na siebie, jak para rozszalałych byków. Został ogłuszony hukami łamiących się w zderzeniu karoseryj i brzękami roztrzaskujących się szyb. Okrzyk grozy, jaki mu się wymknął, utonął w mnóstwie przerażonych głosów, jakie wydał tłum przechodniów.

Nie wiedząc nawet, jak to się stało, znalazł się w pierwszym rzędzie zbiegowiska, jakie się natychmiast utworzyło; stał bezpośrednio

za policjantem, który przy pomocy dwóch mężczyzn, wyciągał z połamanych szczątków kierowcę tego z dwóch pojazdów, który wydawał się bardziej ucierpieć w zderzeniu.

Położyli nieszczęsnego automobilistę na chodniku. Henryk Tingle wsunął głowę pod ramię reprezentanta władzy i ośmielił się spojrzeć w kierunku ofiary. Ujrawszy tę twarz, wydał okrzyk przerażenia. On znał tego człowieka!

Policjant, spojrzawszy szybko na Henryka Tingle, ukląkł; rozpiął kamizelkę leżącego i przyłożył ucho do jego lewego boku. Tłum widzów zwiększył się jeszcze.

Posterunkowy podniósł się.

— Nie żyje — rzekł; następnie spojrzał wokoło. Gdzie jest ten pan, który krzyczał? — dodał.

Spostrzegłszy Henryka Tingle, spytał go:

„Czy pan go znał?”

Parę sekund wcześniej Henryk Tingle miał wielką ochotę oznajmić o tym fackie. Chciałby krzyknąć: „To jest Will Nelson! Ten pan, który składa wizyty co piątek mojej sąsiadce Gracji Warren!”.

Lecz to było przedtem, zanim policjant ukląkł. Teraz ta chęć minęła. Gdy poczuł zimny wzrok prawa utkwiony w siebie, poruszył przeczącą głową.

— Dlaczego więc krzyczał pan, jeśli go pan nie zna? — burknął policjant.

— To ze wzruszenia — wybelkotał Henryk Tingle.

Ktoś się roześmiał. Tęgi policjant odsunął małego człowieka swą silną prawicą, mrucząc niewyraźnie słowa, wśród których Henryk Tingle rozróżnił aluzję do „zmokłych kur”.

Ludzie przepychali się ku przodowi i Henryk Tingle ku swemu zadowoleniu znalazł się w dalszych szeregach. Czuł lekki ból w sercu. Will Nelson nie żyje! Leżał tam, wyciągnięty, bezwładny, w środku tego ciekawego tłumy.

Potem, ponad szemranie tych gapiów wybił się głos jakiegoś człowieka, który podszedł do trupa. Ten człowiek, portier w uniformie, rozmawiał z policjantem.

— Ja go znalazłem! — krzyczał, jakby chąc przeciwstawić się oponentom. To jest Mr. William Ackroyd! To jest jeden z dyrektorów Towarzystwa Importowego, które ma swe biura w Mincing Lane. Mieszkał kiedyś w naszym hotelu, lecz teraz zajmuje apartament w nowej kamienicy na Clarges Street.

Zatrzymał się na chwilę; następnie podjął znów, zwracając się do tłumy:

— To był najszlachetniejszy gentleman w całym Londynie! Miał szeroki gest!

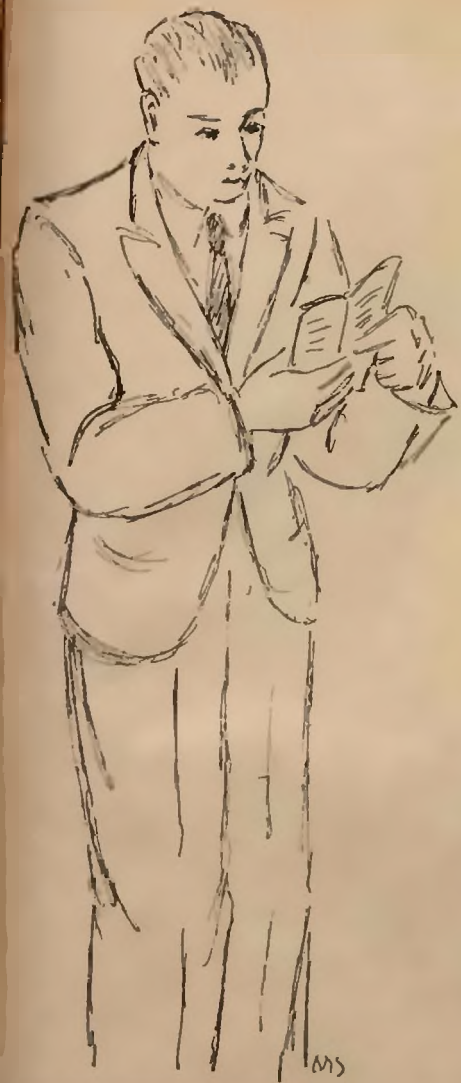
Karetka pogotowia nadjeżdżała. Widzowie rozstąpili się. Henryk Tingle znalazł się wbrew swej chęci tuż obok zwłok. Spojrzał na nie raz jeszcze. Nie omylił się. Był pewny że zmarły — to był Will Nelson.

Podczas gdy podnoszono ciało, by umieścić je w karetce, głowa nieboszczyka odwróciła się na bok. Zmarły zdawał się sztywnieć, tak, jak zwykle sztywnieć na widok Henryka Tingle. Nie było żadnych wątpliwości: to był człowiek, którego Henryk Tingle znał jako Willa Nelsona.

„Chytra szelma, podał fałszywe nazwisko Gracji Warren! — pomyślał sobie — Will Nelson i William Ackroyd to jedna i ta sama osoba!”

Henryk Tingle był do tego stopnia wzburzony, że poszedł wytelnić do skweru, gdzie usiadł. Nie był bardzo silny i wydarzenia tego dnia wzruszyły go mocno. Był to drobny człowieczek, liczący sobie koło czterdziestki, był starym kawalerem i cierpiał na katar, zdający się przechodzić w stan chroniczny.

Usiadłszy na jednej z ławek, odtworzył w swej pamięci przeżycia trzech ostatnich miesięcy, odkąd



Gracja Warren zainstalowała się w małym mieszkanku, sąsiadującym z jego własnym na 3 piętrze kamienicy Sulgrave Road, gdzie mieszkał. Było to pewnego zimowego dnia; wracając zastał korytarz na swym piętrze zawalony bagażami. Zmarszczył brwi, torując sobie przejście do swych drzwi, gdy nagle zjawiała się jakaś młoda kobieta. Łagodnym, dźwięcznym głosem przeprosiła go za nieład.

Henryk Tingle oniemiał ze wzruszenia. Nowa lokatorka miała na sobie niebieski peniuar bez rękawów, pozwalający widzieć białe wspaniałe zarysowane ramiona, twarz jej zaś przypomniła natychmiast Henrykowi Tingle oblicze

pięknej Nicolette, przyjaciółki Ancassin'a, której portret wisiał na ścianie jego saloniku.

Później, wywołując w pamięci cudowną wizję, mówił sobie, że nigdy nie widział równie pięknej kobiety. Podczas gdy przygotowywał sobie samotny obiad, piękne ramiona pojawiały się między jego oczyma a piecykiem kuchennym. W czasie posiłku wstał i poszedł przyrzec się portretowi Nicolette; tak, było podobieństwo... wielkie podobieństwo. Oczy modro-zielone były te same. „Okna duszy” — powtarzał sobie, siadając z powrotem. „Okna duszy”.

Białe ramiona zjawiały się jeszcze nad jego regestrani nazajutrz, w biurze; wspomnienie młodej kobiety nie opuszczało go i cudem wydawało mu się, że osoba tak pociągająca mogła zamieszkać obok niego. Wąska przegroda dzieliła ich sypialnię. Słyszał jej krzątanie po nowym mieszkaniu i jej śpiew.

Gdy nadszedł wieczór, usiłował dowiedzieć się czegoś dyskretnie od mrukliwego dozorecy.

— Tak, jest samotna — rzekł. — Nie, nie pracuje. Pewno ma pieniądze, lub raczej ktoś jej daje. Londyn to dziwaczne miasto!

W dwa dni po jej wprowadzeniu się Henryk Tingle spotkał ją na schodach. Lękliwie spytał — czy nowe mieszkanie się jej podoba. Odpowiedziała z uśmiechem, że uważa je za bardzo mile. A on, czy także jest samotny? Henryk uczynił gest potwierdzający.

— A więc jesteśmy dwojgiem samotników z trzeciego piętra! — rzekła wesoło.

Henryk Tingle pałał chęcią powiedzenia jej, że jest podobna do Nicolette, lecz powstrzymał się. Zamiast tego opowiedział jej o swej kolekcji znaczków pocztowych.

— Jedna z najpiękniejszych w Londynie! — dorzucił dumnie. Muszę ją pani pokazać któregoś dnia.

Młoda kobieta szeroko otworzyła oczy słuchając, jak mówił o swych skarbach. Odpowiedziała, że choć dotychczas troszczyła się jedynie o marki, które naklejała na listach, będzie zachwycona, jeśli zobaczy jego zbiory.

Gdy Henryk Tingle wrócił do swego mieszkania, wykonał parę tanecznych, skocznych pas. „Dwoje samotników! — powiedziała. — Dwoje samotników z trzeciego piętra!”.

Miss Warren sprowadziła się pewnego poniedziałku i Henryk miał okazję dwukrotnie z nią rozmawiać w ciągu następnych trzech dni, lecz w piątek doznał wstrząsu. Biegł szybko po schodach, wracając z biura w nadziei, że zamieni z nią parę słów; w chwili, gdy dobiegał do swego korytarza, natknął się na potężnego mężczyznę o czerwonej twarzy, który również wspinał się ku górze.

Tęgi człowiek odezwał się. Szukał mieszkania Mis Warren; — Czy pan mógłby mi je wskazać?

Henryk poczuł, że gardło mu się ścisnęło i przez parę sekund miał wrażenie, że nie może oddychać. Marzenia jego obracały się w niwecz na widok tego zbyt dobrze odżywionego nieznajomego. Pomyłka była niemożliwa — wszystko w jego postawie, tonie głosu, nawet w ubraniu znamionowało spokojną pewnością siebie tego, kto wie, że jest panem i władcą.

Bez słowa Henryk zaprowadził go do mieszkania miss Warren. Sam zastukał do drzwi. Chciał być obecny przy spotkaniu; opanowała nim chorobliwa ciekawość, podniecona nagłą zazdrością.

Henryk Tingle powtórzył się do swego mieszkania. Był tak wzburzony, że rzucił przez nieuwagę do strzynki od śmieci paczuszkę, zawierającą dwa piękne płyty szynki i porcję ruskiej sałaty, którą sobie przyniósł na obiad.

Zresztą nie miał już ochoty jeść. Usiłował oderwać się od swych myśli, pogrążając się w albumie ze znaczkami, lecz na próżno; grzmiący głos grubasa dochodził do jego uszu poprzez ścianę; nie mógł dokładnie pochwycić treści słów, które docierały doń, lecz od czasu do czasu słyszał srebrzysty śmiech. Jego piękna sąsiadka słuchała widocznie z przyjemnością słów swego gościa.

Gracja Warren odezwała się nazajutrz bardzo szczerze o tej wizycie do Henryka. Był to Mr. Will Nelson... przyjaciel... bardzo dobry przyjaciel. Składał jej wizyty co piątek. „Ażebym się przekonać, czy nie potrzebuję czegoś“ — dodała po prostu. „On jest taki miły!“

Mr. Will Nelson był uosobieniem punktualności. Co piątek, ściśle o siódmej wieczorem, wchodził na trzecie piętro, a o dziesiątej bardzo punktualnie wychodził. Henryk szpiegował go co tydzień. Na czatach za swymi drzwiami słyszał słowa powitania lub pożegnania. „Hallo! Grace! Hallo! Will!“, lub „Good bye, Grace! Good bye Will!“, czemu towarzyszyły często takie zdania, jak np. „Jak pięknie dziś wyglądasz, Gracja!“, lub „Nie jedź zbyt szybko, Will. Ulice są śliskie, a ty jesteś taki nieostrożny!“, Henryk słuchając krzywił się ze złości.

Pewnego piątku wieczorem, prawie w siedem tygodni po sprowadzeniu się miss Warren, Henryk zdziwił się, gdy usłyszał stukanie do swych drzwi. Zobaczył na schodach młodą sąsiadkę w tym samym niebieskim peniuarze, jaki miała na sobie w dniu, gdy zobaczył ją po raz pierwszy.

— Oh, mister Tingle, rzekła, mówilam Willowi... panu Nelson... o pańskiej pięknej kolekcji znaczków pocztowych. Chciałby zobaczyć ten, który wart jest, jak mi pan mówił, dwadzieścia funtów. Czy zech-

ciałby pan przynieść nam swój album?

Potężne uczucie dumy owładnęło Henrykiem. Obecność Wila Nelsona nie zniweczyłaby całkowicie szczęścia, jakiegoby doznał, będąc w pobliżu Grace. Radość napawania się jej piękną i wchłaniania woni jej perfum...

Gdy wszedł, Will Nelson podniósł się z fotela, w którym był rozwalony. Henryk stwierdził ze zdumieniem, że był bez kurtki i że zdjął kołnierzyk wraz z krawatem. Było, co prawda, bardzo gorąco w mieszkaniu, lecz tym niemniej w obecności damy...

Pan Nelson potrząsnął ręką Henryka, miażdżąc mu palce. — Znaczkiki! — zawołał. — Nigdy nie spotkałem nikogo, kto zbierałby te kawałeczki papieru. Konie, stare meble, kobiety, to rozumiem, ale znaczkiki!..

Awresja Henryka w stosunku do tego człowieka zaostrzyła się jeszcze. Co za cham! Lekceważył filatelistykę! Nie wiedział o tym, że bardzo inteligentni ludzie pasjonują się nią!

Will Nelson parsknął śmiechem, gdy Henryk przy pomocy pensetki wyjął z albumu swą słynną czerwoną markę z Guatemali.

— Na miłość boską! — zawołał — Nigdybym nie uwierzył! A ty, Gracja? Mówił pan, mister Tingle, że ten papierowy prostokącik wart jest dwadzieścia funtów? Czy istotnie dano by panu taką sumę, gdyby pan zaniósł to do lombardu?

— Oh, nie, odrzekł Henryk, usiłując ukryć swój gniew; lecz mógłby pan tyle otrzymać od innego amatora, któryby tej marki potrzebował.

— Rozumiem, rzekł Nelson, od innego idioty... pardon, od innego filatelisty, któryby chciał ją wkleić do swego albumu!

Jego uwagi, pogardliwy ton i śmiech wyprowadziły z siebie Hen-

ryka. Drżał z hamowanej wściekłości, gdy powrócił do swego mieszkania. Sam był zdziwiony natężeniem swej pasji.

W dwadzieścia minut potem z uchem przytkniętym do wejściowych drzwi, słuchał, jak Will wychodził od Gracji Warren..

— Bye, bye! dziecniko — mówił grubas. Do następnego piątku! Uba-wiłaś mnie doskonale dzisiaj tym twoim urzędniczyną!

Henryk, nieprzytomny z wściekłości, usłyszał „tysz!..“ Gracji i grzmiący śmiech Nelsona, schodzącego po schodach. „Jej urzędniczy-na“. Ośmielić się mówić w ten sposób o nim! Co za głupiec!

Mijały tygodnie. Will Nelson nigdy nie opuszczał swej piątkowej wizyty. W piękną, czy złą pogodę, gdy była siódma, zjawiał się zawsze.

Trzykrotnie miss Warren zaprosiła Henryka na herbatę podczas wizyt Willa Nelson. Wberw swej nienawiści dla tej odrażającej osobistości Henryk nie umiał oprzeć się pragnieniu znalezienia się w towarzystwie swej młodej sąsiadki. Przyjemność, jaką odczuwał z powodu jej obecności, kazała mu nie zwracać uwagi na sarkazm i pogardliwy ton jej towarzysza. Śledzić jej uśmiech... wdychać jej woń... Był jej wdzięczny za wysiłki, które czyniła, by czuł się dobrze.

Lecz w trakcie ostatniej z tych wizyt wynikło bardzo nieprzyjemne zajście. Will Nelson, który widocznie wypił wiele koktaili, stał się hulaśliwy i agresywny. Jego przyjaciółka usiłowała go uspokoić, lecz on odrzucił ją i bez żadnej przyczyny zaczął znieważać Henryka Tingle.

— Niech no pan posłucha, niedźny urzędniczyno, krzyczał Gracja mówiła mi, że pan wciąż się kręci koło niej. Nie! Nie! Gracjo, nie przeszkadzaj mi mówić. Muszę uprzedzić tego nieponia! Niech pan słucha, jeśli przyłapię pana na za-

wracaniu głowy mojej pieszczotce, wyrzucę pana przez okno! Zrozumiano?

Miss Warren była we łzach. Do-kładała wszelkich starań, by uspokoić Nelsona. Henryk Tingle wstał i skierował się ku drzwiom, lecz grubas dosięgnął go ostatnią strzałą:

— Jak pan śmie mieć czelność, by patrzeć na kobietę, garbała po-krako?

Henryk Tingle nie mógł słuchać tego dłużej. Pobiegł do siebie. Garbaty! Wiedział, że nie miał w sobie nic z Adonisa, lecz nie był przecież garbusem! Przeklęty pijak! Stojąc przed lustrem, wyczerpał pod adresem nienawistnej osobistości cały niewielki zapas znanych sobie przekleństw.

Gracja Warren przyszła usprawiedliwić się nazajutrz rano. Trzymała rękę Henryka, gdy szeptała mu miłe słowa. „Will bywał taki — mówiła — zdarzało mu się to czasem, gdy wypił za wiele“. Henryk kłamiąc dzielnie, zapewnił Grację, że zapomniiał już o zajściu.

I oto Will Nelson, znany widać w świecie jako Mr. William Ackroyd, już nie żył! W tej właśnie chwili pracownicy pewnego zakładu pogrzebowego musieli przystąpić do swych czynności; nigdy już nie złożył wizyty w małym mieszkanku na Shepherd's Bush, nigdy więcej nie będzie mówił pogardliwie o „urzędniczynie“!

Henryk Tingle wzdrygnął się nagle. Zaabsorbowany wypadkami zapomniiał, że to był piątek! Piątek! Według wszelkiego prawdopodobieństwa, Will Nelson jechał z Mincing Lane i był w drodze na Shepherd's Bush, gdy wydarzyła się katastrofa!

Było już w pół do ósmej, gdy Henryk Tingle wchodził na trzecie piętro. Był bardzo wzruszony. Pewien plan zaczął kielkować w jego umyśle, plan oryginalny, szalony...

Lecz trzeba było się upewnić, czy mógł być zrealizowany. Wysiłał się wchodząc na korytarz, by naśladować kroki tęgiego mężczyzny. Pożądany efekt został osiągnięty; drzwi mieszkania miss Warren uchyliły się i ukazała się w nich głowa młodej kobiety.

Henryk Tingle uniósł kapelusz i powiedział jej dobry wieczór.

— Ah, to pan — rzekła. Myślałam... sądziłam, że to pan Nelson. Henryk rzucił od niechcenia okiem na swój zegarek.

— Jeszcze nie przyszedł? — spytał. Tak jest przecież zwykle punktualny!

— Istotnie — odparła miss Warren, przychodzi zawsze w oznaczonej porze; to dziwne, że nie ma go dotychczas. Zwróciła się do Henryka z lękiem w oczach.

— Nie sądzi pan, że mogło mu się zdarzyć coś złego?

Henryk Tingle poczuł się bardzo niewyraźnie. Plan jego wymagał milczenia na temat wypadku, musiał więc zrobić wysilek, by zachować spokój. Ujrzał siebie przez krótki moment, jak powoli, po trochu odsłania jej prawdę... trzymając jej ręce w trakcie opowiadania... pocieszając ją... być może wsparłaby głowę na jego ramieniu.

— Nie, nie sądzę, by zdarzył mu się wypadek — odrzekł. Musiałby go zatrzymać jakieś interesy. Zobaczy pani, że zadzwoni za chwilę.

— On nigdy do mnie nie telefonuje, ani ja do niego. „Bardzo złośliwy ten Mr. William Ackroyd alias Will Nelson!” — pomyślał Henryk.

— Ale — rzekł głośno — czy zna pani adres jego biura? — Nie — odparła cicho — to tajemnica... dlatego, widzi pan, że on się zajmuje polityką... Zmuszony jest do zachowywania wszelkich ostrożności, aby dzienniki nie wpadły na trop. Will nie znosi reporterów. To jest przyzyna, dlaczego nigdy nie wycho-



dzimy razem wieczorem, i dlatego tutaj spędzamy czas.

Henryk Tingle pomyślał nagle, że był jedynym człowiekiem na świecie, który wiedział, że Mr. William Ackroyd, składał wizyty Gracji Warren pod fałszywym nazwiskiem. Słowa młodej kobiety potwierdzały to przypuszczenie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Gracja i on byli jedynymi istotami, które kiedykolwiek słyssały nazwisko Willa Nelsona.

— A... jego mieszkanie. Czy pani wie, gdzie on mieszka?

— Nie.

Przez chwilę milczała, po czym podjęła:

— Myślałam, że mieszka w hotelu Cordovan... lecz myliłam się.

— Pytała go pani o to?

— Pisałam do niego pod tym adresem, lecz zwrócono mi list z napisem: „adresat nieznany“. Nie przyznałam się do tego, że tam do niego pisałam, byłby z tego niezadowolony.

Odgłos kroków dał się słyszeć na schodach. Miss Warren przechłubiła się przez poręcz schodów, nasłuchując. Henryk nie poruszył się. Wiedział o tym, że Will Nelson nigdy więcej nie będzie wchodził na te schody.

Świadomość, że tylko on zna tę tajemnicę podniecała go ogromnie. Był to pewien rodzaj wyłączności; nikt więcej w City nie podejrzewał, że śmierć Mr. William Ackroyda, szanowanego kupca, człowieka, pociągnęła za sobą zniknięcie hulaki, którego pewna piękna dziewczyna знаła jako Willa Nelsona.

Henryk przejrzał swój plan w myśli. Na razie, nie miał nic innego do roboty, jak tylko pocieszać Grację, zapewniając ją, że wszystko będzie dobrze. Gdy stanął przed swymi drzwiami z kluczem w ręku, obrócił się, by raz jeszcze się pożegnać.

— Jeśli mógłbym być pani w czymkolwiek pomocny, proszę tylko zapukać do moich drzwi.

Henryk Tingle obudził się i wstał nazajutrz o wiele wcześniejszej porze, niż zwykle przynoszono mu dziennik. Doczekawszy się go, przerzucił szybko stronicę i wkrótce znalazł ustęp, którego szukał. Był on krótki, lecz dokładny. Mr. Ackroyd, który poniósł śmierć, był jednym z członków znanej firmy importowej „Masters, Lorne et Ackroyd“. Nie był żonaty. Należał do rozmaitych eleganckich klubów,

mieszkał przy Clarges Street i cieszył się uznaniem wszystkich osób, u których bywał. Henryk uśmiechnął się szyderczo, czytając nacechowane sympatią komentarze redaktora.

Sądził, że ujrzy Grację Warren przed wyjściem do biura, lecz nie zjawiała się. Powiedział sobie, że mimo wszystko nie ma pośpiechu.

Po drodze, zboczył ze zwykłej trasy, aby przejść przez Clarges Street. Chciał otrzymać jaknajwięcej informacji. Myśl, że Will Nelson z pewnością nie żył, napelniała go satysfakcją. Zwrócił się do dozorczy kamienicy.

— Tak, proszę pana — odparł zapytany — to był właśnie ten pan Ackroyd; nasz najlepszy lokator, proszę pana. Nie, ciało jest jeszcze w pogrzebowej kaplicy. Przetransportują je jutro na cmentarz w Kingstón. Dziękuję Panu.

Podczas przerwy na śniadanie miał chętkę zadzwonić do miss Warren, aby ją spytać, czy otrzymała jakieś wiadomości, lecz powstrzymał się. Zaczeka do wieczora.

Po kilku godzinach zastukał do drzwi swej sąsiadki. Zjawiała się z czerwonymi oczyma, widocznie bardzo niespokojna. Poprosiła Henryka, aby wszedł. Nie, nie otrzymała żadnej wiadomości, i spędziła bardzo smutny dzień.

Henryk poradził jej, by poprosiła do siebie jedną z przyjaciółek, aby nie siedziała ciągle samotnie.

— Nie mam przyjaciółek — odpowiedziała, znam tylko Willa w Londynie.

— Gdzie pani przebywała przedtem?

— Na wsi, w hrabstwie Kent.

— A... pani rodzina?

— Przyjechałam do Londynu — odrzekła młoda kobieta, wzruszając ramionami, by wstąpić na scenę. Wyobrażałam sobie, że mam zdolności... tak, jak wiele dziewcząt.

Otrzymałam skromne engagement, co pozwoliło mi przeżyć parę tygodni...

Po długim milczeniu dodała:

— Pewnego razu na dancingu spotkałam Willa. Dopomógł mi.

Henryk Tingle nie pytał o dokładniejsze szczegóły. Wypadek ten wydał mu się dostatecznie jasny. Will Nelson był filarem, podtrzymującym całą budowlę, a teraz, gdy umarł, wszystko się zawaliło... chyba, że ktoś inny zajmie jego miejsce.

Wyraziła swą wiarę w Willa Nelsona. On jej nie opuścił, to nie był człowiek zdolny do czegoś podobnego. Była przekonana, że nie porzuciłby jej bez słowa usprawiedliwienia... nie, musiało się coś zdarzyć... coś takiego, co nie pozwoliło mu przyjść do niej lub nawet napisać.

Zbliżyła się do Henryka Tingle i szepnęła mu tajemniczo do ucha:

— Polityka!

— Polityka? — powtórzył Henryk zdziwiony.

— Tak, tak! — zawołała. Niech

pan mi wierzy! Znam Willa! Porwano go! Z powodów politycznych! Jest narażony! Cudzoziemcy, którzy mają ludzi na swe usługi... Oni go porwali, a może nawet zamordowali! Will Nelson nie jest człowiekiem, który mógłby w ten sposób opuścić kobietę. Ja to czuję! Jestem tego pewna!



Henryk był zdumiony i trochę przestraszony jej gwałtownością. To nie było po myśli jego planu. Szybko przyznał jej rację; nigdy nie miał intencji sądzić, by Will Nelson mógł ją opuścić.

— Obraził pana — odparła — i jakaś zła myśl taka, czy inna mogła przyjść panu do głowy, lecz niech mi pan wierzy, on nie był zdolny do podobnej gruboskórności.

Henryk Tingle poprosił o urlop w dniu pogrzebu. Asystował przy tej ceremonii. W ciągu poprzedzającej ją nocy wspomnienie o tym, że zmarły nazwał go garbusem, pobudziło jego nienawiść do tego stopnia, że miał chęć posłać wieniec z napisem: „Pozdrowienia od Garbusa”. Jednak obawa, że mogłoby to spowodować dochodzenie, powstrzymało go.

Tego wieczora zastukał ponownie do drzwi Gracji Warren. Wpuściła go do siebie.

Czuł się szczęśliwy, że jest wzruszona sympatią, jaką jej okazywał w nieszczęściu. Zdawała się pochłaniać jego słowa, co wprawiało go w stan upojenia. Żadna kobieta dotychczas nie zwracała uwagi na Henryka Tingle; żadna kobieta nie raczyła słuchać jego słów. Lecz tym razem bardzo piękna dziewczyna o różanej cerze błagała go bez przerwy, by ją uspakajał, by twierdził, że Will Nelson powróci.

Sprawdził swoje konto w banku tego wieczora. Miał w depozycie oszczędności z trudem zebrane w ciągu dwudziestu lat pracy. Dosięgły one sumy trzystu siedmiu funtów, dziewięciu szylingów i ośmiu pensów. Nie była to wielka suma, lecz czuł się szczęśliwy, wiedząc, że ją posiada.

Will Nelson nie zjawił się oczywiście następnego piątku. Henryk Tingle pośpieszył się powrócić do domu, by być u siebie o tej porze, kiedy zwykle przychodził Will.

Oczekiwał wraz z Gracją od godziny siódmej prawie do ósmej; wtedy wybuchnęła płaczem. Usiłował ją uspokoić.

Była przerażona. Łkając przyznała się, że nie ma już pieniędzy; to Willłożył na jej potrzeby dotychczas.

Henryk Tingle wyciągnął wtedy z kieszeni portfel i ofiarował jej jego zawartość. Grzecznie, lecz stanowczo odmówiła mu przyjęcia pożyczki. Jakież prawdopodobieństwo istnieje, że będzie mogła mu ją spłacić? Henryk był rozgniewany. Było widoczne, że nie uważała go za odpowiedniego na następcę Willa Nelsona.

— Wobec tego — spytał — na co pani liczy?

— Ja... ja nie wiem — odpowiedziała płacząc.

Jest ktoś, kogo znałam dawniej... może on da mi trochę pieniędzy... napiszę do niego.

Henryk zaofiarował się pójść na pocztę. Doszedłszy za róg ulicy podał list na drobne kawałki i wrzucił do rymszłoka. Nie czuł się zdolny, by zezwolić na to, aby inny człowiek, zawładnął Gracją Warren. Obraz przyszłości wdział w pociągających barwach.

W ciągu następnego dnia Henryk Tingle zapisał wiele kartek cyframi, które nie dotyczyły w żadnym razie firmy, gdzie pracował. Usiłował obliczyć, jakie mogły być wydatki młodej osoby, w rodzaju Gracji Warren.

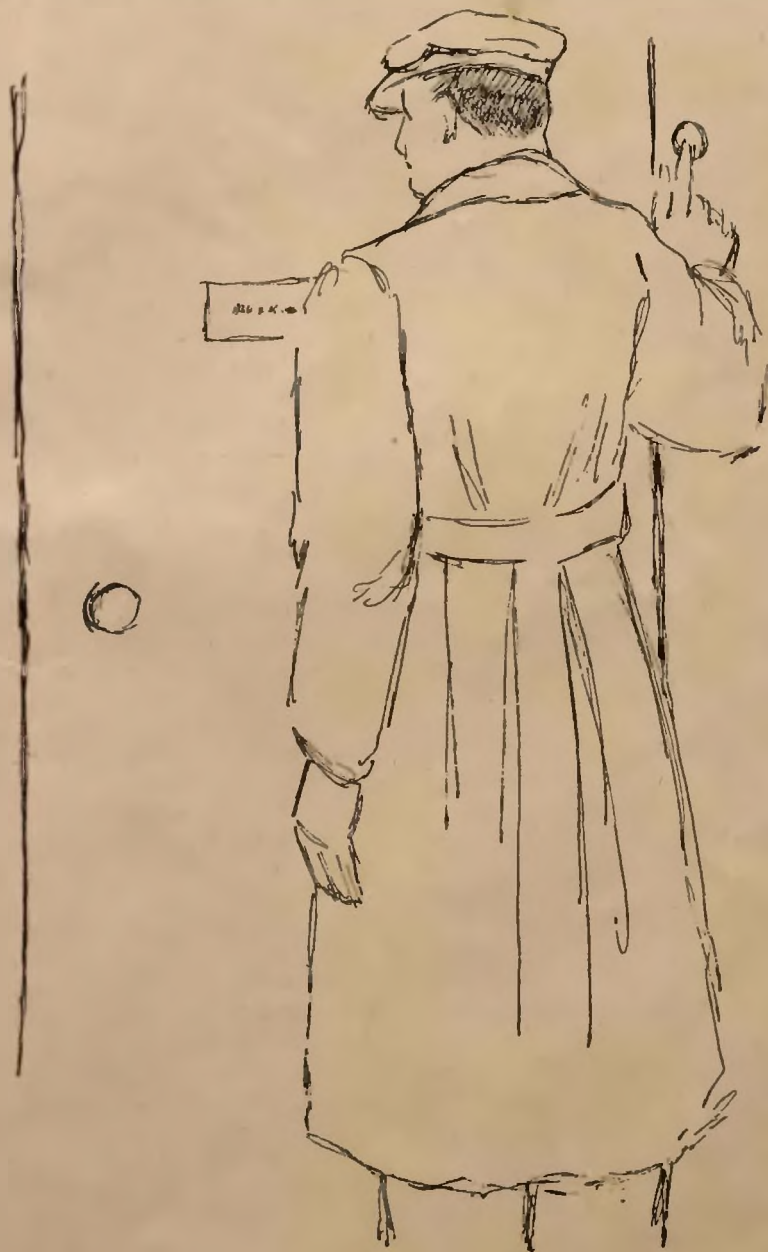
Gdyby tylko mógł odgandnąć, jaką sumę przeznaczył jej Will Nelson. Usiłował przy pomocy podstępnych pytań wyciągnąć tę wiadomość, lecz nie mógł otrzymać dokładnych informacji, na których mu zależało.

Pod koniec dnia, na kilka minut przed wyjściem z biura, zdecydował się na pewną określoną sumę. Wówczas napisał na maszynie parę słów i włożył do koperty kartkę

wraz z dziesięciofuntowym banknotem. Potem napisał adres mis Warren.

Zjadł obiad w restauracji. To należało do jego planów. Trochę po dziesiątej wsiadł do autobusu, który zawiózł go na Shepherd's Bush.

Wbiegł po schodach, przeskakując po cztery stopnie, i zapukał do drzwi sąsiadki. Przybrał radosny wyraz twarzy. Wyrecytował jej bez zająknięcia zmyśloną historię. W trakcie tego opowiadania twarz Gracji rozpromieniała się. Widział



Nelsona! Tak! tak! Spotkał go w restauracji, gdzie był na obiedzie. Mr. Nelson podszedł do jego stolika i prosił go o doręczenie jego listu Gracji Warren! I oto list!

Gracja śpiesznie rozerwała kopertę. Trzymając w ręku banknot, czytała kilkakrotnie krótki list; potem zaczęła lkać przyciskając kartkę do serec. Henryk, obserwując ją ukradkiem, zdał sobie sprawę z tego, że trafnie postąpił. Bardzo trafnie.

Spytał ją z niewinną miną:

— Wszystko dobrze?

— Tak, tak! — zawołała. Pisze mi, że prosi pana o doręczenie... Nie mogę panu tego przeczytać... Rozumie pan mnie, prawda?

Henryk Tingle rozumiał doskonale. Zredagował list w ten sposób, że nie mógł być mu przeczytany. Zrobił to, by wykluczyć wszelkie podejrzenie. List brzmiał, jak następuje:

„Gracjo droga, nie mogę się obecnie pokazywać publicznie ze względów, związanych z polityką. Unikam także korespondencji pocztą z przyjaciółmi, by nie narazić ich na przykrości. Przyszło mi na myśl, by użyć za posłańca tego cherlaka, który mieszka obok ciebie. Szelma uwielbia Cię i nie zdradzi nas. Nie mogę wyznaczyć Ci rendez-vous. Urządź się tak, bym mógł go spotykać od czasu do czasu. Zabawne będzie to posługiwanie się nim!

Serdeczności.

Will

Gracja zasypywała Henryka pytaniami. Wprost szalała z radości. Czy Will wyglądał zdrowo? Czy był sam? Czy nie wydawał się zgnębiony? W jakiej restauracji się spotkali? Gdybyż ona tam była?

— Niech pan posłucha — mówiła gorączkowo. — Will pisze mi, że postara się widzieć pana od czasu do czasu, aby oddać panu list dla mnie. Czy powiedział panu o tym?

— Tak. Powiedział, że będzie się ze mną widywał co jakiś czas, ale, że nie może mi powiedzieć dokładnie gdzie i kiedy.

— Rozumiem! Wiem, że nie mógł tego zrobić. Zajmuje się polityką, mówiłam panu o tym, prawda? Lecz, jeśli... jeśli mogłabym znaleźć się... przypadkiem... z panem...

Henryk Tingle odezwał wyraźną satysfakcję. Był zachwycony trafnością swych przewidywań. Tego właśnie oczekiwał. To należało też do planu, jaki obmyślił. W ten sposób Gracja Warren, chcąc zobaczyć Willa Nelson, będzie z nim wychodzić na miasto, razem jadać obiad... i czemu z czasem ma nie zapomnieć o tym wulgarnym grubasie? To piękne marzenie jaśniało w jego wyobraźni.

— — — — —
Zaczęła się więc seria cudnych wieczorów. Raz na tydzień zabierał miss Warren na obiad do restauracji. Zmieniał je, gdyż Nelson go o to prosił. Zmieniał także dni, również z tego powodu, że żądał tego chytry Nelson. Lecz, jeśli byli gdzie we czwartek, to właśnie w piątek Henryk Tingle go spotykał i otrzymywał list, zawierający jak zwykle banknot. Jeśli wybrali się w piątek, to Nelson zjawiał się w sobotę. Henryk Tingle zorganizował wspaniałe tę zabawę w ciuciubabkę!

Była to gra kosztowna, lecz jakże pasjonująca! Jego konto bankowe cierpiało na tym wyrażnie: dziesięć funtów tygodniowo, do czego doliczyć co najmniej funt na wydatki, lecz przyjemność była ogromna.

Henryk Tingle, po raz pierwszy w ciągu swego istnienia, czuł, że żyje. Stał po obłokach... Za każdym razem, gdy wychodzili na miasto, wydawało mu się, że Gracja Warren interesuje się trochę bardziej rozmową z nim, że zdaje się



mniej niespokojna o to, by odnaleźć Willa Nelsona.

Jego niewielki kapitał stopniowo topniał. Niekiedy odczuwał z tego powodu pewien lęk. Gdy Mr. William Ackroyd, alias Will Nelson, spoczywał już od czterestu tygodni na spokojnym cmentarzu w Kingston, Henryk, przeglądając swe rachunki bankowe, skonstatował, że

posiada o 160 funtów mniej, niż owego dnia, gdy był świadkiem fatalnej katastrofy w pobliżu Trafalgar Square. Przy tym odkryciu nieprzyjemny dreszcz przebiegł mu wzdłuż krzyża.

Wydane pieniądze, co prawda, dały mu wiele przyjemności i wzruszeń. Graecja Warren nazywała go teraz po imieniu. Mawiała nawet

czasem: „Mój kochany Henryk“. Kilkakrotnie pozwoliła mu na pożegnanie pocałować się w policzek. Zawiązała się między nimi serdeczna przyjaźń i chociaż opierała się ona jedynie na poszukiwaniu Nelsona, rozmawiali jednak coraz rzadziej o tej nieuchwytniej osobistości.

Pewnego wieczora, na początkach jesieni, oddała mu pocałunek. Był uniesiony radością. Powiedział jej o podobieństwie do Nicolette. Figlarnym gestem uszczypnęła go w policzek.

Zbliżała się zima. Gdy wychodzili pewnego wieczora z restauracji z Piccadilly, dał chłodny, północny wiatr. Gracja otuliła się szczerzej swym okryciem i wstrząsnęła się z zimna.

— Brrr! Gdybym dziś spotkała Willa, prosiłabym go, żeby mi podarował płaszcz! — rzekła śmiejąc się.

— Jaki płaszcz? — spytał Henryk.

— Futro! Piękne futro! Nurki, lub krety!

Rozumie się, że Henryk Tingle nigdy nie powinien był uczynić tego, co uczynił. Trybunały orzekły milion razy, że kasjer nie ma prawa użyć na swe osobiste potrzeby pieniędzy, które przechodzą przez jego ręce, a które do niego nie należą. Lecz w jakież sposób ci sędziowie o kamiennych sercach mogliby zrozumieć dusze takich ludzi, jak Henryk Tingle? Henryk Tingle przeżył 44 lata bez żadnych doświadczeń miłosnych! Ci starzy sędziowie byli może w młodości takimi samymi ludźmi, jak inni, lecz z wiekiem stwardzieli i teraz spędzali swe dni na skazywaniu biedaków, którzy nigdy przedtem nie mieli okazji, aby dać się porwać czarodziejskiej sile miłości.

Henryk Tingle posiadał jeszcze

147 funtów. Futro kosztowało 200. Co za szkoda...

Gracja Warren otrzymała swe futro pewnego wrzesniowego poranka. Przez cały ten, długi dzień Henryk Tingle był we władzy dwóch uczuć: z jednej strony — to był strach, by podniesienie pieniędzy z kasy firmy nie zostało zauważone, zanim zdąży jej wpłacić, z drugiej strony zaś to było przeczucie radości, jaką przeżyje, otrzymując podziękowanie za zrzeczność, dzięki której uzyskała od Willa Nelsona tak piękne futro!

Pod koniec popołudnia przestał pisać i siedział chwilę nieruchomo. Czyż Gracja Warren naprawdę wierzyła w to, że to Will Nelson przysyłał jej co tydzień pieniądze? Czy nie domyślała się w głębi serca, że to on, Henryk Tingle,łożył na jej potrzeby?

Pomówi z nią jeszcze dzisiaj. Wyzna jej wszystko. Powie jej, że od czasu, gdy zniknął Will Nelson, on sam dostarczał jej co tydzień pieniędzy. Nie mógł już dłużej ścierpieć, żeby Nelson, ten łotr, który nazwał go „garbusem“ i „urzędniczyną“, był dobroczyńcą kosztem cudzego poświęcenia.

Obmyślił słowa, w jakich uczyni swe wyznanie, i powtarzał je sobie w pamięci. Zasychało mu w gardle. Powie jej, że jeśli to uczyni, to przez miłość dla niej. Drżał ze wzruszenia, starając się sobie wyobrazić, jaka będzie jej reakcja. Byli sami na swoim trzecim piętrze... sami! „Dwoje samotników!“, powiedziała kiedyś. Dreszcz go przebiegł...

Poprzez oszklone drzwi jego pokoju jeden z dyrektorów firmy przyglądał mu się z uwagą.

Henryk Tingle dotarł na trzecie piętro trochę przed szóstą. Przed drzwiami Gracji Warren leżał pył i żółtła słomy. Zadzwoił, lecz nie doczekał się odpowiedzi. Bil pię-

ścią w drzwi, lecz również bezskutecznie.

Dozorca, usłyszawszy hałas, zjawił się na schodach.

— Mam list do pana, mister Tingle. Miss Warren wyjechała. Napisała do pana, by panu to wyjaśnić.

Henryk wyrwał list z rąk dozorecy i rozerwał kopertę. Niewielka paczka banknotów upadła na ziemię, lecz nie zatroszczył się o nią. Przyglądał się wybaluszonymi oczyma świsłkowi papieru. List zredagowany był w sposób następujący:

Kochany Henryku, zdarzył się cudowny wypadek. Odwiedził mnie notariusz, który spytał mnie, czy to istotnie ja tańczyłam niegdyś w teatryku „Klejnoty“. Tam pracowałam właśnie, gdy poznałam Willa Nelsona. Naturalnie, powiedziałam mu prawdę i gdy mi dewiodłam, że to na pewno ja jestem Gracją Warren, oznajmił mi, że jeden z jego klientów, niejaki Mr. William Ackroyd, han-llowiec, niedawno zmarły, zapisał mi pięć tysięcy funtów! Minęło kilka miesięcy od czasu, gdy ten notariusz mnie poszukiwał, ponieważ posiadał jedynie adres teatru.

Ponieważ nie słyszałam nigdy o tym panu, poprosiłam o jego fotografię... i poznałam biednego Willa!

Wiem teraz, że to pan dawał mi pieniądze co tydzień. Wiem także, że to pan podarował mi to piękne futro. Szlachetny i drogi przyjacielu!

Gdy dostałam pieniądze, obliczyłam, ile pan musiał wydać na mnie. Oceniałam, że musi to sięgać czterystu funtów. Zwracam więc panu tę sumę, którą proszę przyjąć wraz z moją wdzięcznością i podziękowaniem. Powracam do swej wioski.

Serdecznie wdzięczna

Gracja Warren

Henryk Tingle siedział w biurze

BÓLE

ARTRETYCZNE REUMATYCZNE PODAGRYCZNE

najwięcej dokuczają na zmianę pogody, w czasie zimna, słoty i niepogody. Nieznosnymi wtedy stają się bóle w stawach, kościach, mięśniach, powstają bolesne obrzmienia, chodzenie, a nawet poruszanie się bywa utrudnione. Cierpienia te powstają skutkiem nagromadzenia się kwasu moczowego w ustroju i jeżeli nie będą racjonalnie zwalczane, będą się zwiększać, aż wreszcie na stałe przykują do łóżka. W tych wypadkach stosuje się wewnętrzny lek „UREMOSAN“ GAŚECKIEGO, który rozpuszczając kwas moczowy w organizmie, wywołuje obfite wydzielanie się takowego wraz z moczem i współdziała z ustrojem w walce jego z artretyzmem, reumatyzmem, podagry, ischiasem, kamicy nerkową oraz złą przemianą materii.

Oryginalny „UREMOSAN“ GAŚECKIEGO do nabycia w aptekach

na swym wysokim taburecie. Owładnął nim błogi spokój. Włożył z powrotem do kasy pieniądze, które podjął, i wpłacił w banku pozostałość z 400 funtów. Spostrzegł, że dzięki ciekawej zbieżności, ma na rachunku prawie tę samą sumę, co w dniu, gdy popłynął w krainę marzeń. To wywołało jego uśmiech.

W tym czasie w dyrektorskim biurze dwaj współpracownicy prowadzili rozmowę.

— Zaczynałem się niepokoić Henrykiem Tingle — rzekł jeden z nich. Wydawał mi się zdenerwowany. Bałem się przez moment, czy nie robi jakichś głupstw.

— Głupstw? W jakim rodzaju?

— Dla kobiety?

— On! Jestem zupełnie pewien, że nie miał nigdy przygody miłosnej przez całe swoje życie, poczciwe! Ma namiętność zbierania znaczków pocztowych i gra na cytrze! Niech mu się pan przypatrzy w tej chwili; założę się, że myśli o jakiejś marce, której brak w jego kolekcji

W rzeczywistości, w tej właśnie akurat chwili, Henryk Tingle marzył o Gracji Warren. Znów widział

jej piękne ramiona o tak białej skórze... I, jednak nie odczuwał żadnego żalu. Ta historia groziła zakłóceniem spokoju jego egzystencji... Teraz, gdy się już wszystko skończyło, będzie mógł zająć się poważnie swymi kochanymi znaczkami i pograć trochę częściej na cytrze.

J.T. DWYER i W. HAYNES

Tłumaczyła z francuskiego

K. J. Lisicka

Ilustracje M. Sześcińskie





Gisela Uhlen gra w filmie Tobisu „Taniec na wulkanie”

fot. Polski Tobis



*Dorothea Weick główna
bohaterka filmu
„I czwarty przyszedł”
fot. Polski Tobia*

HUMOR SOWIECKI

Rozmowa przez telefon

— Hallo! 3-47? To ty, Sierioża? Dzień dobry. Tutaj Simkow. Poznajesz? Jak się masz? Ja? Nienajgorzej, ale jestem zapracowany, zahartowany. Pracy po same uszy. Tak. Wciąż w tym samym biurze. Pytasz, co nowego? Mnóstwo nowin. Dziś byłem na zebraniu Obkomu. Powzięto bardzo ważne uchwały. Jakie? Za dużo chcesz wiedzieć, Sierioża. Uważasz, uchwały w charakterze wybitnie dyskrecjonalnym. Więc rozumiesz sam — nie mogę. A poza tym to nie nadaje się do telefonicznej rozmowy. Co? Ależ, daj spokój. Słowo daję, to nie megalomania. Widzisz, są sytuacje, kiedy nie wolno za dużo mówić. Ale poczekaj, ogólnikowo opowiem ci o pewnej sprawie. Tylko pamiętaj, Sierioża, nie wolno ci się przed nikim zdradzić, że o tym wiesz. Przystań się obrażać, mój drogi. Zupełnie jak niewinne dziewczę. Po prostu uważam za konieczne uprzedzić ciebie. Zrozum — to tajemnica partii. Otóż, wyobraź sobie, mamy bardzo ciekawy materiał obciążający tego... wiesz... Nie chcę wymieniać nazwiska. Opiszę ci go ogólnikami, chyba się domyślisz. Wiesz, to ten z czarną brodą i długimi nogami. Nie, nie Czerniakow. Jakiś ty niedomyślny. Bielkin? Co też ty mówisz! Przecież wyraźnie mówię z długimi nogami. Zabawny jesteś. Mówię o Riedkinie, a ty się pchasz z Czerniakowem i Bielkinem. Więc okazało się, że właśnie Riedkin... Czy znasz go, Sierioża? Co? Sierioża! Sierioża! Hallo! Rozłączyli. Do licha z tą stacją telefoniczną! Stacja?



Hallo! Stacja! Czyście tam wszyscy zasnęli? Dlaczego pani przerwała mi rozmowę? - Proszę 3-47. Dziękuję. Tutaj znów Simkow. Rozłączyli nas. Więc co Riedkina... Opowiem ci ogólnikami, ale domyślisz się. Nie można się jeszcze za bardzo wdawać w szczegóły. Na razie sprawy się nie ujawnia. Posiadany materiał wymaga jeszcze uzupełnienia. A Riedkin, rozumiesz, nawet nie przypuszcza, że tu chodzi o niego. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wpłatał się w obrzydliwą sprawę. Czekaj, nie przerywaj, Sierioża. Sam się domyślisz, w jaką. Nie mogę ci oczywiście wyrazić nie powiedzieć. Tym bardziej, że towarzysz Orłow ostrzegł nas, że na razie nikt nie powinien nie wiedzieć. Rozumiesz chyba, nie jesteś

dzieckiem. Chcą Riedkina usunąć z partii. Towarzysz Orłow ma już upatrzonogo kandydata na jego miejsce. Ale to wielka tajemnica. Nie mogę przez telefon wymienić ci nazwiska. Wiesz, to ten lisy, w okularach. Nie myśl, że to Kisielew. Wprost przeciwnie. Kisielew jest wprawdzie lisy, ale nie nosi okularów. Chodzi o Samusienkę. Tylko narazie o tym ani słowa! Rozumiesz chyba, nie jesteś dzieckiem. Poczekaj, nie przerywaj. jakiś ty niecierpliwy, jeszcze ci coś powiem. Zebranie było bardzo interesujące. I wszystkie sprawy ogromnie dyskrejonalne. Więc trzeba mocno trzymać język za zębami. Ale opowiem ci ogólnikami. Tylko słuchaj uważnie do końca i nie przerywaj. Nasza fabryka ma zaleconą nową funkcję. Domyślasz się, jaką? Dla specjalnych celów. Będziemy produkowali części zapasowe do... nie można o tym przez telefon... Napewno sam się domyślisz. Rozumiesz, nowy typ motoru. Więc widzisz, ile sensacyjnych nowin! Tylko, nie gniewaj się, ale musisz mi święcie przyrzec — nikomu ani słóweczka! Towarzysz Orłow przy końcu zebrania z naciskiem ostrzegał przed wynoszeniem wiadomości na zewnątrz. Więc, sam rozumiesz: ani parę z ust! A co słyhać u ciebie, Sierioża? Jak zdrowie pani Heleny? Co? Kto tam mówi? Sierioża, przecież to nie twój głos! Kto przy telefonie? Kto przy telefonie?! Nie nie rozumiem. Czy to 3-47? Nie? Po kiego licha pan słucha, kiedy nie do pana mówię! Przecież to mogą być tajemnice. Jak pan śmie? To chamstwo! Proszę mi podać pańskie nazwisko! Co? Jak? Towarzysz... Towarzysz Orłow? Towarzysz Orłow! Proszę mnie wysłuchać, błagam pana. Towarzyszu Orłow! Towarzysz-

szu... Odwiesił słuchawkę. Wszystkiemu winien Sierioża, niech go licha weźmie, wszystko przez jego ciekawość. Stacja? Hallo, proszę natychmiast 3-47. 3-47? Sierioża? Powiedz jakieś zdanie. No, naprzykład: „Przybiegły dzieci do chaty, pośpiesznie wołają ojca... Tak, tak. Teraz wiem, że to ty. Czy wiesz, co się stało? Do wszystkich diabłów! przez ciebie będę teraz cierpiał. Stacja nas rozłączyła, a potem przez pomyłkę połączono mnie z Orłowem. Byłem przekonany, że rozmawiam z tobą. Orłow wszystko słyszał. Możesz sobie wyobrazić, co teraz będzie. Przeklęta ta stacja telefoniczna! Co mówisz? to nie wina stacji? Co takiego? Czego się śmiesz? Niemożliwe! Nabrałeś mnie? Aleś mnie nastraszył. świetnie to odegrałeś. Głowę bym dał, że to... Co mówisz? Że jestem gaduła i plotkarz? Dlaczego mi wymyślasz? Ale przecież nikomu, oprócz ciebie. Słowo honoru. Tylko tobie... Co? No, wiesz, to już zupełnie nie po koleżeńsku!... Co? Odrzucił słuchawkę...

Przekład *Marii F.*

Gruźlica płuc jest nieubłagana i corocznie, nie robiąc różnicy dla płci, wieku i stanu, pociąga bardzo wiele ofiar.

Przy zwalczaniu chorób płucnych, bronchitu, grypy, uporczywego, męczącego kaszlu itp. stosują pp. lekarze „Balsam Tricolan Age” (dawniejsza nazwa „Balsam Thio-colan Age), który ułatwia wydzielanie się płwociny, zmniejsza kaszel.

Światło w otchłani

Mały, szczupły człowiek prał w Wiśle strzępy bielizny, gdy się pochylał z poza zapiętej na jeden guzik, zniszczonej marynarki widać było jego zapadłą, białą klatkę piersiową, nie miał bowiem ten człowiek koszuli... Nazywał się Donat Chromieński, był dzieckiem wielkich dóbr znajdujących się za kordonem sowieckim, miał mnóstwo, bogatych, utytułowanych krewnych w Warszawie i był — poetą, który wciąż czekał na wielki przypływ natchnienia...

Zmęczył się teraz praniem i zmazrzy mu obute w podarte trzewiki stopy, oparte na kamieniu leżącym w wodzie, wyszedł na brzeg, rozłożył na piasku uprane lachmany, które niegdyś były koszulą i kalesonami i usiadł na odwróconej dnem do góry łodzi, teraz stała się widoczna jego twarz blada i wynędzniała, wielkie szaro - niebieskie oczy, tonące w mgłę rozmarzenia, brudna, lysa czaszka... Trudny był tylko do określenia wiek na tej ruinie ludzkiej powierzchowności, można było dać jej lat trzydzieści, równie dobrze jak pięćdziesiąt (przekroczył pięćdziesiąt) miało się bowiem wrażenie, że jakaś wilgotna, wieczna świeżość dziecięcej naiwności jest w niej stopiona z sterczem sterczeniem...

Od Wisły i od rosnącego, w ogródku jakiegoś osiedla zamiejskiego, krzaku bzu, przeciągającego ku słońcu przętowie, z korą otwierającą się wschodzącym pąkom, szedł podmuch wiosny... Woda wzdymała się na lekkim wietrze i płynąc szybkimi, małymi odepchnięciami, mieniła się w słońcu błękitem, złotem, stała i cieniem... Gałązki dwu wierzb stojących samotnie na małym rudo - zielonym skrawku trawnika, srebrnych od puszystych

miękkich osobliwych kwiatów, drżały w ekstazie oddawania się słońcu... Od beczynnych, leżących na piasku łodzi pachniało rozgrzaną smołą...

Poeta patrzył na niebo; cudowna gra obłoków, płynących szybko i zmieniających wciąż formę, pochłaniała jego uwagę, bolał go kark od zadzierania głowy do góry, ale nie zauważył tego, wyczarowywał, z tych płynących obłoków kształty jakichś słów szalonych, nieistniejących na ziemi, nieznanych w niebie, zawieszonych w przestrzeni, jedynych i samotnych...

W pewnej chwili poszukał ołówka, ale przypominał sobie, że nie miał za co kupić papieru. Poczul głód, od dwu dni bowiem jadł tylko suchy chleb i pił wodę, chwilę siedział zgarbiony, z myślami zgastymi nagle, z pustką w głowie, potem zaczął doznawać ślamazarnego dziecięcego żalu, nad sobą, wreszcie puściły mu się z oczu łzy i spływały obficie po zaczerwienionym nosie, po zarosniętych skąpym zarostem wargach... Dzieci bawiące się w pobliżu otoczyły go, i zdumione, (a starsze gotowe do kpin i śmiechu) przypatrywały mu się natłacznie, zauważył to, uspokoił się, spojrzął ze strachem na dzieci, wstał, zebrał w gazetę swoją bieliznę (wyschniętą już) i oddalił się, a zobaczywszy, że nikt nie zwraca na niego uwagi, wsunął się na dno łodzi, położył pod głowę swoją paczkę i zaczął patrzeć znówu w strop, czysty i błękitny teraz. Długo leżał bez ruchu, ukojony i wyjałowiony z myśli, wreszcie zasnął. Gdy się obudził, z nad Wisły płynął już zmierzchny wilgotny od mgieł i rosy... Woda poszarzała i wiał od niej chłód. Poeta wygramolił się z łodzi, i z swoim pakunkiem

ruszył ku miastu, do domu, do kąta, który zajmował u starej wdowy Adeli Leszniak, na Powiślu. Wielki dom, w którym gnieździła się „biedota“ huczał przedwieczornym gwarem.

Donat wchodząc w bramę, przybrał wyniosły wyraz twarzy, ale niedługo go utrzymał, pierwsza dziecięca kpina, złośliwe spojrzenie kumoszki z bramy, przeistoczyły tę wyniosłość w wyraz bezradnego przestachu... Gdy wszedł do mieszkania, ludzie żyli tu już pełnią wieczornych zajęć i przyzwyczaję. Leszniakowa gotowała kolację; zapach wędzonki napelniał izbę. Córka jej krawcowa krajała suknię.

Synowa o nalanej, bladej twarzy, siedziała przy oknie z małym dzieckiem na rękach i nucila monotonicznie. Mąż jej, tęgł chłop, o poczerwiałej skórze, jaką mają ludzie zajęci przy węglu, leżał na łóżku i palił papierosa. Na innym łóżku leżał drugi syn Leszniakowej, suchotnik, z oczami zapadniętymi w głąb czaszki, wyschniętą twarzą i rękami rozpostartymi po obu stronach łóżka, wyrazem zniecierpliwienia i rozpacz...

Donat szedł cicho, skradającymi się krokami do swego kąta, gdzie stało jego łóżko, gdy usiadł, zdezelowane, żelazne pręty, zadźwięczały chrapliwie.

Rozpakował bieliznę, włożył ją pod poduszkę, poskładał gazetę, wreszcie wyczerpał swą pracę i nie wiedział co robić, usiłował myśleć o obłokach, które budziły w nim, nad Wisłą szalone wizje i otwierały głębie nieba i ziemi, ale uwagę jego skupiała się mimo woli, na zapachu wędzonki i na problemacie wylaniającym się z tego związku wrażeniowego; „u kogo pożyczyć parę groszy“ w końcu, nie pozostało mu nie w mózgu prócz tej jednej świdrującej niecznośniej myśli. Wśród tych prostych ludzi, z który-

mi los go sprzął, czuł się niepewnie, zdawało mu się, że są oni milczącymi i bezwzględnyimi sędziami jego upadku, niedoli i bezradności, i że znoszą go wśród siebie, jak obcy, drażniący zapach, i bardziej wśród nich, jak w innych skupiskach ludzkich, dręczyło go uczucie zbyteczności, choć to uczucie prześladowało go wszędzie, ale ci ludzie mieli obojętne twarze, gdy mówił do nich wyszukanyimi frazesami i pokornym głosem, a to, że płacił im mało i zalegał nieraz, tolerowali z delikatną cierpliwością, za co czuł dla nich wielką wdzięczność.

Leszniakowa nalewała krupnik na talerze, poeta poczuł kurez głodowy w żołądku, skulił się, dręcząc myśl „u kogo pożyczyć“ stała się nie do zniesienia, myślał gorączkowo: krawcowej jest winien złotówkę, synowej dwa złote, choremu Stanisławowi aż dziesięć, węglarz nie ma pieniędzy, bo zabiera je żona, stara Adela nie pożyczczy, lokatorki, dwie podejrzanej konduity dziewczęta, wyszły już.

Donat wpatrywał się w suchotnika, ten chory człowiek, był mu najbardziej dostępny, nie zachowywał się inaczej, jak ludzie żyjący w tej izbie, ale w jego gruboskórności przebłyskiwała subtelność i dobroć. Donat ostatecznie zdecydował się i poszedł powoli do łóżka suchotnika.

Chory potrzęsnał leżącą bezwładnie ręką, zwrócił ku Donatowi umęczoną twarz i rzekł dyszącym głosem:

— Co tam panie Donat, co pan tak kluczysz? Chodźże pan śmiało!

Donat pośpieszył się usiadł na łóżku, chrząknął i rzekł z uśmiechem, który tchnął całą ohydą i smutkiem utraconej godności:

— E nie takiego panie Stanisławie, chciałem z panem zamienić kilka słów....

Cudowny ranek spędziłem dziś nad Wisłą, przestrzeń pachnie wio-

sną, musnęły mnie złoto - pióro skrzydła muzy, ale... — chrząknął i skulił się nagle, wędzonka zapachniała intensywniej. Donat przełknął ślinę i zbladł; zrobiło mu się mdło, z trudem utrzymał się w pozycji siedzącej...

Suchotnik podniósł wyleniałe brwi, spojrzał bystro na Donata i roześmiał się chrapliwie:

— Ale muza nastraszyła się głodemora i zwała... Ile? — spytał krótko i życzliwie.

Donatowi krew uderzyła do twarzy, z podniecenia poczuł się silniejszy.

— Ach, panie Stanisławie, jaki pan subtelny! Jestem istotnie w kłopotach finansowych, ale jak tylko wuj hrabia Mielski da mi pieniądze, natychmiast panu oddam!

— Za delikatnie pan dusisz tego hrabiego! No, ile?

Donat zacierał nerwowo ręce:

— Nie śmiem proponować! Ile pan może!

— Dwa złociszce wystarczy?

— Jestem już panu winien! — mówił cicho Donat.

Suchotnik zakaszłał się, z zapadniętych piersi, wydobywał się głuchy, rzeżący odgłos, na czoło wystąpiły wielkie krople potu, machnął niecierpliwie ręką, jakby chciał powiedzieć „czekaj pan“ albo „głupsi pan“, poczym, uporawszy się z kaszlem, wyciągnął z pod poduszki pugilares. Jako inwalida stuprocentowy pobierał rentę, nie miał żony i opiekowała się nim matka, skąpił dla siebie, ale dla drugich, miał zawsze grosz, o co walczyła z nim stara. I teraz podeszła prędko z oczami zwróconymi natargowicie na ręce syna, ale chory rzekł opryskliwie:

— Po jakie cholere? Co zaglądać „jak sroka w koście“? Może nie można?

— Leszniakowa zmilezała i wróciła do swoich garnków. Reszta ludzi

zgrupowanych w izbie zachowywała się dyskretnie.

Chory grzebał w pugilaresie, wreszcie na jego wydelikaczonej pięknej nieomal dłoni, zaświeciła nowa dwuzłotówka.

— Kup pan sobie kielbasy za moje zdrowie!

— Dzięki! — mamrzał Donat.

— A idźże pan i żyw się!

Donat drobnym, szybkim krokiem wyszedł z izby, wybiegł na ulicę i nagle stanął olśniony, nad kawałkiem niezabudowanej ulicy jaśniała złoto - opalowa kopuła nieba, w oddali szarego już od zmierzchu, samotne drzewko, cienkimi gałązkami, zdawało się tworzyć na niebie tajemniczy plan, jakichś dróg poza ziemskich, u dołu płonęła czerwona balustrada, w refleksach zawczasem zapalanej lampy lukowej, obok, na długim parterowym domu szalały zmiennością jaskrawe światła reklam...

Donat poczuł ucisk serca, jakby od naporu krwi, z pękniętej nagle żyły, przed jego oczami otworzyła się przestrzeń, otchłań zaludniona kłębowiskiem cudownych niesamowitych postaci, zalana światłem nieziemskim, i pogłębiająca się w nieskończoność...

Przymknął oczy, wizja została z nim, poczuł iść przed siebie, jak lunatyk...

W czwartorzędnej kawiarni, stały otworem szerokie drzwi, poeta wszedł, zawahał się i usiadł.

Zjawiła się kelnerka, podał jej dwuzłotówkę i powiedział nieśmiało:

— Czy może panienska kupić mi ze trzy libry papieru i ołówek?

— Owszem! libra to dwadzieścia pięć arkuszy? A co pan będzie konsumował? — zapytała sznurując umalowane usta.

Poruszył głową z ożywieniem.

Kielbasę z kapustą!

Ale, gdy mu ją podano, pisał już i zapomniał o jedzeniu... W kącie

kawiarni grało w karty kilku robotników, przy bufecie pijani goście śpiewali wśród czkawki przeboje, w takt fokstrota z zachrypniętego gramofonu, tańczyło na środku kilka par... Donat pisał... wreszcie kelnerka poprosiła go grzecznie żeby wyszedł.

— Zamykamy lokal, Już czwarta! Zagrzeję panu jeszcze tę kielbasę! — ofiarowała się.

Donat pożywił się i wyszedł; dniało... to samo drzewko tworzyło na niebie zalanym gorejącą czerwienią, swój tajemniczy plan, natomiast lampa łukowa miała brudny, nikły blask, a czerwona balustrada, obryzgana błotem przecinała brutalnie przestrzeń.

Donat poszedł nad Wisłę i tam wypełniał nieczytelnymi znakami resztę arkuszy. Do domu powrócił późno, niósł siebie, niiby statwę słynącą cudami, w uroczystej procesji, czuł się podniecony i równocześnie jakby wyżęty z wszelkiej celowości, nasycił wreszcie śmiertelne pragnienie, upił się swoim poematem i nadzieją olśnienia nim świata... Obmyślał plan działania, najpierw musi postarać się o pieniądze, kupić jakiś garnitur i — poszukać wydawcy.

Rozpoczął kwestę u bogatych krewnych.

Nie miał skrupułów co do tej żebraniny, weszło mu to w krew, jego utracona godność nie cierpiała już od dawna; przychodził węszyć nastrój jak węzeł, stawał pokornie u drzwi, lub siadał na brzegu krzesła, powtarzał swoje wyszukiwane, uniżone frazesy, chwycił lapczywie datkę i wycofywał się wśród ukłonów.

Tym razem sezon wiosenny nie sprzyjał Donatowi, krewni jego szukali już teraz kontaktu ze słońcem w Nicei, Meranie, czy Deauville i poeta odchodził zgnębiony, od coraz innych drzwi, nie zastając „jaśnie państwa“. Pozostały mu tylko

trzy domy. Poszedł najpierw do kuzynki starej hrabiny Opielskiej, pogardliwej i nieprzystępnej, która słuchała go z odpychającą miną, stojąc za fotelem i poszukując artystycznym palcem, coraz, w innym miejscu kurzu na poręczy, Donat przemawiał pokornie:

— Je me sens très malheureux et je demande mille fois pardon de vous déranger..., ale znalazłem się w położeniu...

— Wiecznie ta sama piosenka — przerwała opryskliwie hrabina — ...il pense que j'ai une mine d'or...

Twarz Donata zwiótczała, jak przekluty balonik.

— Pani, jako bliska krewna...

— En voilà un parent! Je ne veux plus le connaître! Ja jestem chora! j'ai besoin du calme! — wydobyla z woreczka dwadzieścia złotych i wyciągnęła z daleka rękę ku Donatowi — niech bierze et qu'il s'en aille! i niech czyta napisy na bramach: „domokrążcom i żebrałkom wstęp wzbroniony!

Wuj senator hrabia Mielski wysłał mu sto złotych przez lokaja.

Książe Donat Zaleka, cioteczny brat zmarłej matki Donata, ujrzawszy go w salonie, gdzie wprowadził go froter, odwrócił się od niego plecami i krzyknął:

— A czego tu?

Donat jęknął.

— Mon cher oncle, chciałbym z panem pomówić...

— O czym? — huknął książę nie odwracając się.

— Jestem chwilowo w krytycznym położeniu!... — zamamrotał Donat.

Książę wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, lecz Donat wiedział, że wyniesie mu zaraz sto złotych, więc czekał i rozmyślał bez żolci; — to „przyjmowanie“ plecami interesantów, ma genre trochę zanadto „kapryśny“ wuj dostał już nauczkę, — zachichotał i przestraszył się odrazu — raz po powrocie z polowania

z agronomem, zawiadowcą folwarku, odwrócił się tak od tego miłego człowieka, na dziedzińcu, wobec służby. — Donat zachichotał znowu, był na wsi wtedy na „kweście“ u wuja i widział własnymi oczami wypadek, teraz delektował się wspomnieniem. — Agronom poczerwieniał z gniewu i zaraz uśmiechnął się; „figlarz“ i zanim ktokolwiek zorientował się w sytuacji zdjął dubeltówkę i wycelował w profil niewymownej części ciała wujaszka, w same czubki i wystrzępił je odrobinę, więcej nie się nie stało, tylko wuj nie mógł długo siedzieć, a ten „figlarz“ tłumaczył się w sądzie, że „musiał staremu arogantowi dać nauczkę, a że znał swoją rękę, wiedział, że niebezpieczeństwo nikomu nie grozi.

Posiedział, zapłacił, ale... — Donat poczuł ściśnięcie serca — nie dał się sponiewierać, a on... Donat?.. w tej chwili książkę wtargnął z furią do hallu i — Donat kłaniając się nieskończoną ilość razy, wycofywał się do drzwi plecami, ściskając w spóconej ręce banknot stużłotowy.

Teraz rozpoczął wędrówkę po redakcjach dzienników, tygodników i domów wydawniczych, lecz jego garnitur z Kerelaka, wynędziała postać i samounieście, przekreślały z góry wszelkie szanse powodzenia.

Pisma codzienne i tygodniki odrzucały z miejsca rękopis, z tym, że „nie drukują poezji w ogóle“. Wydawcy nie doczekawszy się telefonów od osób wpływowych, popierających „wschodzący talent“, nie zadawali sobie trudu wertowania gryzmołów utworu „nickasowego“, bo jeden „rzut oka“ powiadał im, że trzylibrowy rękopis jest poematem fantastycznym, nie podporządkowanym żadnej popłatnej idei doby, ani powieścią sensacyjną, niechby nawet kpiącą z dobrego smaku inteligentnego czytelnika...

Donat stał się zmorą hallów redakcyjnych, uniżony, cierpliwy, przerażający, kłaniał się pokornie woźnym, wycalowywał po rękach urzędniczek i maszynistek, błagał, pocił się, drżał, wnosił z sobą przykry odór niepranej bielizny, niewietrzonego mieszkania i dotykając niemal bolesną obrzydliwość spodlenia godności człowieczeństwa.

Wreszcie zrozumiał, że bez protekcji nie ołśni świata swoim dziełem. Począł więc debatować kogo z krewnych zdołałby nakłonić do potraktowania go serio, ale wśród tych ludzi zimnych i obojętnych, nie dostrzegł nikogo, a ci nieliczni, którzy kiedyś usiłowali uczynić z niego „człowieka z pozycją“ nie żyli już. Nagle Donat doznał olśnienia: „do niej pójdzcie“ — „ona“ to była ta jedyna najpiękniejsza miłość z zarania życia Donata, z czasów świetnych materialnie, gdy on miał lat ośmnaście, a hrabianka Mary Nasielska — siedemnaście; między tylko dzieliły ich wielkie ziemie, a serca łączyły wspólne zainteresowania, czytali razem Nietsche'go Maeterlinck'a, Słowackiego... Donat pogrążony w ekstazie miłości ku Mary, nieśmiały i bezradny w stosunku do rzeczywistości, żył marzeniem, w końcu rozdzieliła ich wojna, i Donat nie dowiedział się, czy Mary go kocha...

Potem panna wyszła za mąż za Jana Rocciano, członka włoskiej ambasady, a Donat staczał się coraz niżej po swej fatalnej pochyłej...

Dzięki niezaszczytnemu kontaktowi, który utrzymywał ze swą rodziną, dochodziły do jego wiadomości szczegóły z życia Mary i teraz wiedział, że niedawno owdowiła i złamana, samotna, przyjechała z zagranicy do Warszawy. Wpadł w determinację: pójdzcie, — ona go zrozumie, zaprotęguje u wy-

dawców, (jest bardzo bogata, ma wpływy) i może...

Donat przyciskał serce bijące gwałtownie pod naporem szalonych cudownych nadziei...

Ogolił się, wykąpał, odświeżył garnitur i poszedł.

W pałacu księżnej Janowej Rocciano, każdy przybysz wchodzący frontowymi drzwiami był proszony do salonu, z jednolicie tonowaną uprzejmością, — taki był rozkaz księżnej.

Donat usiadł na brzegu fotelu obitego bardzo jasnym adamaszkiem i natychmiast ogarnęło go natarczywe uczucie strachu, że jego brudne ubranie, nasiąknięte wilgocią wiecznie spoconego z wycieńczenia ciała, zabrudzi adamaszek i tak poddał się temu maniackiemu wrażeniu, że gdy księżna weszła, wstał z fotelu w taki sposób, że księżna zanim go poznała, spojrzała z zaciekawieniem poza niego, szukając mimo woli przyczyny jego zaabsorbowania, poczym spytała z oczami niepewnymi i życzliwymi:

— Pan Chromieński?

Donat ośmielony łagodnym głosem, przypadł do rąk kobiety z histerycznym wylaniem. Księżna cofnęła się zdetonowana.

Donat zgasł i fala przerażonej pokory zalała mu twarz. Księżna ogarnęła bystrym spojrzeniem nędzną jego postać, zrozumiała wszystko i uległa swojej dobroci.

— Pan Donat! — powtórzyła ciepło. — Jakże mi miło, proszę siadać!

Zapomniała o istnieniu tego człowieka, który nie umiał wtedy w młodzieńczym okresie jej życia wypalić piętna swej miłości w jej duszy, a kochając swego męża wielką miłością, zanurzała się także i po owdowieniu przed najłżejszymi powiewami tych wrażeń, które rozniecić może mężczyzna...

Lecz ta kobieta piękna jeszcze, pożądana, przywykła do hołdów,

indywidualistka o wybitnym umyśle nie znosiła przy sobie ludzi zawiadzionych, cierpiących, zbolalych i nieszczęśliwych i dlatego mając do czynienia z ludźmi zależnymi od siebie, nie posługiwała się nigdy siłą swej wewnętrznej i zewnętrznej władzy i podczas, gdy w rozprawie z kimś ze swego poziomu, umiała w razie potrzeby jednym słowem, gestem, czy spojrzeniem obezwładnić, w stosunku do człowieka gotowego zawsze „paść do jej stóp“, przyjmowała na siebie świadomie rolę zwyciężonej, nie-zręcznej, upokorzonej, zmuszała się do wytrwania w sytuacji nieznoszonej, męczącej, żeby tylko nie uczynić temu człowiekowi przykrości ostrym odruchem, żeby udzielić mu ciepła, odstąpić triumf, gdy wiedziała, że łaknie tego.

Wzięła Donata za rękę i mówiła serdecznie:

— Bardzo się cieszę, że pan przyszedł do mnie. Poznałam go od razu. Jakże ułożyło się panu życie? A może... — chciała zapytać — „mogę panu w czym pomóc“, ale nie wypowiedziała tego, bojąc się urazić Donata...

Donat pochylił się znowu do jej rąk i lzy trysnęły mu z oczu, wypłakiwał na rękę księżnej całą niedolę swego życia.

Zapanowało kłopotliwe milczenie, księżna z trudnością opanowywała wstręt fizyczny, usiłując podporządkować się całkowicie bezmiernej liłości, którą czuła dla tego nieszczęśliwego człowieka i rozważała jak mu pomóc i, jak nie pograżając go w bólu i upokorzeniu, wybrnąć z śmiesznej sytuacji i zachować nieodzowny dystans.

Sponiewierana jaźń Donata tonęła tymczasem w niedoznanym nigdy dotąd szczęściu; nie istniało dla niego, nie w tej chwili, prócz pachnących, pięknych, łaskawych rąk tej kobiety. Zapomniął o swo-

im poemacie i o głównym celu, dla którego tu przyszedł.

Sytuacja przybrała akcenty groteski i tragedii.

Księżna poczuła się zmuszoną przerwać ją, wydobyla łagodnie rękę swoją z rąk Donata i przeciężywszy wstręt, nie otarła jej, uśunęła się nieco i rzekła najcieplejszym tonem:

— Trzeba być silnym, panie Donacie! Domyślałam się, że los źle obeszł się z panem... Może... — zawahała się znowu i zdecydowała, że musi to powiedzieć — może jednak będę mogła w czym panu pomóc! Likwiduję moje sprawy, bo po śmierci męża, którego bardzo kochałam, wstępuję do klasztoru, ale dla pana znajdę czas, proszę mi powiedzieć szczerze, co mogę dla pana uczynić!

Donat otworzył szeroko oczy, słuchał i pojął wreszcie, ale nie doznał żadnego druzgoczącego uczucia; wrócił mu nagle ów magnacki niepokój, czy nie zabrudził adamaszku, usiłował sobie przez sekundę przypomnieć po co tu przyszedł, ale całe jego poczucie rzeczywistości skoncentrowało się na tym adamaszku, wstał niezręcznie, kłaniał się pokornie, przeproszał i posuwał się plecami ku drzwiom.

Księżna starała się zatrzymać go, ale Donat nawykły do wycofywania się jaknajprędzej z sytuacji, w której poczuł się zbędny, uparcie wykonywał swoje ruchy.

Dopiero na ulicy przypomniał sobie, że chciał prosić księżną o poparcie do wydawców i teraz uznał, że to przedsięwzięcie było niedorzeczne, powlókł się ociężałe nad Wisłę i przeleżał w łodzi do wieczora.

Następnego dnia poszedł do wydawcy, któremu zostawił przed kilkoma miesiącami rękopis do oceny.

Wszystkie inne redakcje i domy wydawnicze znały już Donata, albo jego poemat i dlatego Donat skupił

całą graniczącą z rozpaczą nadzieję na tym ostatnim etapie drogi ku swej kotwicy...

Przyjął go sekretarz, człowiek młody, gładki i tuzinkowy, wskazał uprzejmym ruchem krzesło.

Donat zdał sobie nagle olśniewająco jasno sprawę z sytuacji, jeżeli tu odrzuca, to koniec wszystkiego. Poczęły mu drżeć usta i ręce, na czoło wystąpił obfity pot, wyjął chustkę i wytarł twarz.

Sekretarz szukał rękopisu.

Właściciel tego domu wydawniczego, człowiek niezwykle, znawca literatury zamilowany poszukiwacz nowych talentów i prawdziwego piękna w słowie, przeczytał dokładnie całe trzy libry; leżała na nich kartka z oceną: „Donat Chromieński (ceny nie dawać poecie, podać powód: nadmiar materiału). Przejaskrawiona wzniosłością, niedołączna konstrukcja, bezład miejscami, polot i piękny język, całość: twór umysłu przyémionego w zdolności konstruowania logicznego — nie nadaje się do druku“.

Sekretarz usunął zρέcznie kartkę z oceną i oddał rękopis Donatowi.

— Mamy taki nadmiar materiału do druku, że nie możemy obciążyć się już niczym więcej!

Donat wstał, uklonił się kilkakrotnie, mamrotał jakieś wyrazy grzecznościowe i wycofywał się plecami, potykając się lekko, wreszcie wyszedł; przez sekundę zastanawiał się co robić, dokąd iść i nagle poczuł pragnienie zaszycia się w swoim ciemnym kącie na swoim nędznym łóżku.

Gdy wszedł do izby domownicy jedli obiad. Chory oparty na poduszkach pił z kubka rosół. Donat starał się przejść przez izbę tak, żeby nie zwrócić na siebie uwagi, ale chory spojrzał bystro na niego, odsunął od ust kubek i zawołał swym dyszącym głosem:

— Panie Donat!

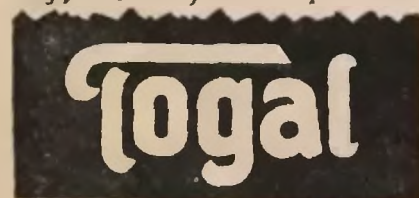
Donat podszedł posłusznie.

REUMATYZM



ARTRETYZM i PODAGRA

są plagą ludzkości. Tabletki Total stosowane w tych cierpieniach w dawkach po 2-3 tabletek 3 razy dziennie uśmierzają ból i przynoszą ulgę. Do nabycia w aptekach



Chory odstawił kubek i pociągnął Donata za rękę:

— Siadajno pan i gadaj co z panem zrobili, nie lżyj pan tylko, bo widzę! Zawsze pan wyglądasz jak zdrowy, ale dzisiaj z panem jest coś grubo gorszego-

Donat rzekł tym razem po prostu:

— Nikt nie chce wydać mego wielkiego poematu!

Chory wziął znowu swój kubek z rosółem.

— Dlaczego cholery nie chcą? — zapytał.

— Nie wiem! — rzekł bezradnie Donat.

Chory pił głośno rosół i myślał; wreszcie odczwał się:

— O co panu chodzi, dlaczego pan chce, żeby wydali? Z powodu „forsa“?

— Nie !nie! — mówił szybko Donat. — Pan tego nie zrozumie, poeta musi dzielić się z żyjącymi istotami swoim słowem, inaczej to słowo, jeśli nie zostanie oddane myślom i duszom innych ludzi, staje się jakby pochowane żywe-

Chory zmarszczył brwi, rozważał znowu przez długą chwilę w końcu rzekł:

— To czytaj pan mnie, ja chętnie będę słuchał!

Donat rozpromienił się.

— Będzie pan słuchał, panie Stanisławie, naprawdę?

— No, czytaj pan zaraz, jak chcesz!

Donat rozłożył arkusze i zaczął czytać.

Jego nieśmiały, cichy, martwy głos stał się nagle władczy i radosny.

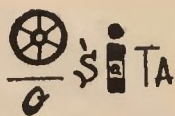
Jedzący ludzie w izbie zapominali chwilami kłaść łyżki do ust, słuchali; tymi słowami poczuli, choć niezrozumiałymi dla nich, dziwnymi tym „nadmiarem“ wzniosłości (rażącym umysł wybredny) nasycałi swoje łaknienie niezwykłości, koili tęsknotę swej szarej ciężkiej rzeczywistości, za czemś oderwanym od niej, podniebnym i dalekim...

Odtąd Donat przestał nachodzić redakcje i domy wydawnicze pisał swoje poczty dla tych niewybrednych słuchaczy i czytał im je w ich wolne wieczory. Przychodzili często jeszcze inni biedni ludzie słuchać tego czytania i poeta w tych chwilach, które były dla niego, jakby światłem w otchłani, przeżywał swój triumf i poznawał wyniosłe szczęście.

MARIA ZWARYCZOWSKA

Rozrywki umysłowe

pod redakcją Zygmunta Boniowskiego



OD REDAKCJI DZIAŁU

Rozwiązania nadsyłać należy do dnia 15 maja r. b. z dopiskiem „Rozrywki Umysłowe”.

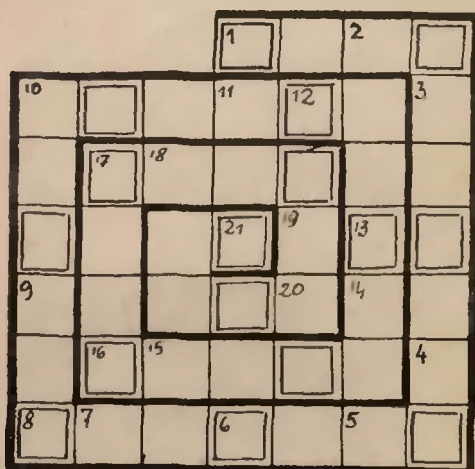
Do rozwiązań należy wyciąć i dołączyć kupon.

Za bezbłędne rozwiązanie zadań redakcja przeznacza nagrody książkowe.

Z obecnym numerem rozpoczyna się nowy konkurs wytrzymałości.

Przy nadsyłaniu rozwiązań z dwóch kolejnych numerów prosimy podawać rozwiązania na osobnych kartkach z naklejonym odpowiednim kuponem. Również osobno prosimy podawać zadania własnego układu i t. p.

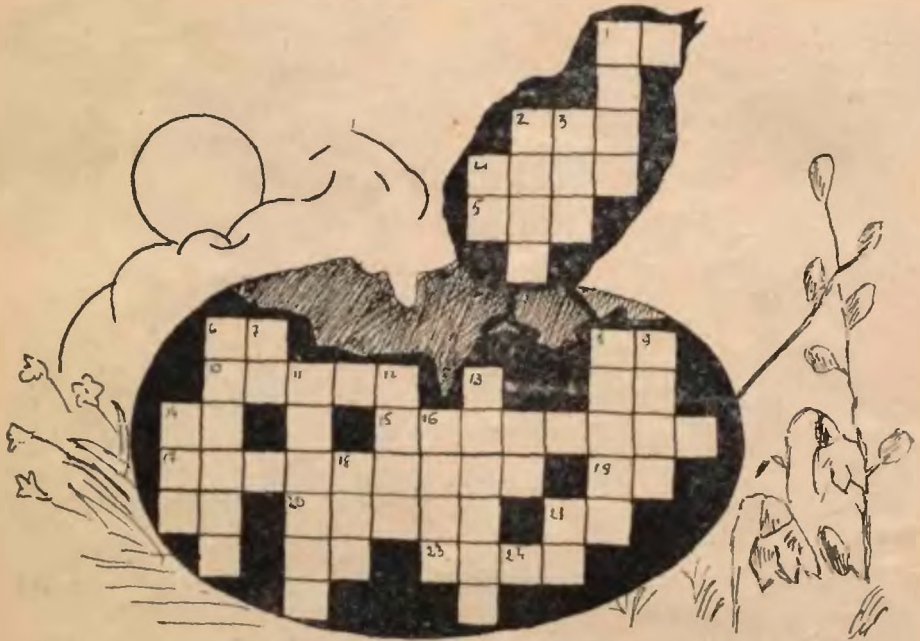
1. CIĄGÓWKA



1—3. Niewielki wór. — 2—3. Przyrząd gimnastyczny. — 3—4. Pieniądze wydane na zakup czegoś. — 3—6. Próbował smakiem. — 5—6. Długi nasyp ziemi. — 5—7. Niewielki wał ręczny. — 7—9. Czapka żołnierska albo uczniowska z daszkiem czworokątnym, kroju francuskiego. — 8—10. Naśladowca i propagator wielkich idei genialnych poprzedników, mniej od nich zdolny. — 10—12. Prawidło, przepis, miara, zasada, reguła. — 11—14. Imię żeńskie. — 13—16. Słynny matematyk i astronom francuski (1749—1827). — 15—18. Roślina, której pęd podziemny używany jest do potraw. — 17—20. Płytki moczar albo jezioro, ciągnące się wzdłuż brzegu morza. — 19—21. Nimfa wodna grecka.

Litery w oznaczonych kratkach dadzą rozwiązanie.

2. KRZYŻÓWKA



POZIOMO:

1. Przyimek. — 2. Ojciec chrzestny. — 4. Część broni palnej. — 5. Rodzaj papugi. — 6. Dwie litery „Roty“. — 8. Rzeka w Niemczech. — 10. Plac między stodołami. — 14. Zaimek. — 15. Miesiąc kwiatów. — 17. Święto w czwartym miesiącu roku. — 19. Patrz Nr. 14. — 20. Zmartwychwstał trzeciego dnia po śmierci. — 21. Dwie następujące po sobie litery słowa „orzeł“. — 23. Rodzaj bata.

PIONOWO:

1. Pora roku, która już minęła. — 2. „Autorka“ wielkanocnego jaja. — 3. Miasto w Rosji. — 4. Nura. — 6. Kółko łańcucha. — 7. W tym miejscu. — 8. Zdjął kamień z grobu Pana Jezusa. — 9. Koniec pacierza. — 11. Zachęta do loterii (i-j). — 12. Wzór. — 13. „Sezon“ kwiatów. — 14. Tamta. — 16. Syn syna. — 18. Miasto w Tunisie. — 21. Francuskie „i“.

3. WIZYTÓWKI

1. Jaki zawód posiada:

2. Co czyta:

FLORA WITA TYMSKA

ANTOŚ A. OŁOWIAK

„Zoga“

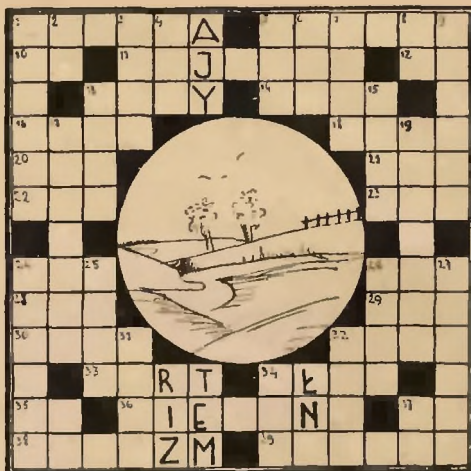
4. KRZYŻÓWKA

POZIOMO:

1. Najpiękniejsza pora roku. — 5. Kolonizuje. — 10. Idę (łac.). — 11. Wycieczki zamiejskie w maju. — 12. Miara powierzchni. — 13. Przestrzenie zarośnięte drzewami, cele wiosennych wycieczek. — 14. Opera Verdiego. — 16. Kalif arabski. — 18. Korab Noego. — 20. Porządek. — 21. Zwierzę kręgowie zimnokrwiste. — 22. Zaimek rodz. żeńskiego. — 23. Ten sam zaimek. — 24. Lecznik. — 26. Niedokończona „orka”. — 28. Część sztuki teatralnej. — 29. Wołanie. — 30. Heblowina, strużyna. — 32. Sądy w dawnej Polsce. — 33. Dowcip uszczypliwy. — 34. Siarczan glinki i potasu. — 35. Zaimek. — 36. Jakże są łąki i lasy na wiosnę? — 37. Nuta. — 38. Kunszt. — 39. Monety obce.

PIONOWO:

1. Nastrój wesoły. — 2. Dwie następujące po sobie litery słowa „wiosna”. — 3. Smarowidło, maż. — 4. Zaimek. — 5. Ta i ... — 6. Narty. 7. Patrz Nr. 14 poziomo. — 8. Przy-



imek. — 9. Łukowe sklepienie na filarach. — 13. Byłe. — 15. Statek Argonautów. — 17. Rzeczy (ironicznie). — 19. Ptak z rodziny wróbli. — 24. Dynastia panująca w Italii. — 25. Wykrzyknik. — 26. Odmiana tlenu. — 27. Części rośliny. — 31. Plagi, bicie. — 32. Miasto we Francji. — 34. Sędzia w Judei.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NR. 178

1. KRZYŻÓWKA.

1. Wz. — 3. Mu. — 5. Oda. — 7. Bar. — 8. Sara. — 10. Para. — 11. Kradł. — 13. Motyl. — 14. Motylek. — 15. Siw. — 16. Noc. — 18. Bari. — 19. Elew. — 21. Orać. — 22. Sery. — 23. H. — 24. Ja.

2. KONIKÓWKA.

Nie ma nic złego co by na dobre nie wyszło.

3. KRZYŻÓWKA.

1. D. — 2. L. — 3. Car. — 5. Lew. — 7. Polak. — 9. Senat. — 11. Gap. — 12. Bolek. — 14. Mah. — 16. Bat. — 17. Tor. — 18. Mak. — 20. Pal. — K. — 21. Rok. — 22. San. — 24. Bas. — 26. Woń. — 27. Rad. — 29. Balet. — 31. Byk. — 32. Kanonizował. — 33. Ral. — 34. Bizon. — 35. Rok. — 37. Bez. — 38. Eon. — 39. Mol. — 41. Bar. — W. — 42. Mam. — 43. Rej. — 45. Law. — 47. Bis. — 48. Tor. — 50. Całus. — 52. Pas. — 53. Nygus. — 55. Jasyr. — 57. Sad. — 58. Muł. — D. S.

4. LAMIGŁÓWKA.

Czas to pieniądz.

1. Czekali. 2. Zakopane. 3. Ataman. 4. Somali. 5. Tamta. 6. Opad. 7. Polonez.

NAGRODY

Za bezbłędne rozwiązanie zadań z Nr. 173 nagrody otrzymują następujące osoby:

1. Ppor. Drewicz Mieczysław — Oświęcim.
 2. Jan Wójcik — Hajnówka.
 3. Urszula Oczkówna — Toruń.
- Nagrody rozesłane zostaną pocztą.

ODPOWIEDZI RED. DZIAŁU

4. W Pan J. Wójcik. Zadania własnego układu można nadsyłać. Jeżeli będą dobre to wydrukujemy z przyjemnością. Rozwiązania nadesłane po terminie nie mogą być uwzględnione z zrozumiałych względów. Prosimy przyjąć wyrazy poważania.

5. W Pani „Zoya”. Za zadania dziękujemy. Niestety nie wszystkie mogą być wydrukowane. Serdecznie pozdrawiamy.

Na straży wielkich tradycji

W walce o wielką przyszłość

rodzimego życia duchowego i kultury polskiej

NAJSTARSZA ILUSTRACJA POLSKA

TYGODNIK ILLUSTROWANY

wchodzi w 80-y rok swego istnienia

Adres wydawnictwa: WARSZAWA, ZGODA 12

